



Kraków, 28 czerwca 2018 r.

studium
DZIENNIKARSKIE

MAGAZYN SŁUCHACZY KURSU NR 11

(ROK AKAD. 2017/2018)

STUDIUM DZIENNIKARSKIEGO

UNIWERSYTETU PEDAGOGICZNEGO

W KRAKOWIE

REPORTAŻ

„Nie ma czasu. Lecimy, lecimy!” (Paulina Sury)	3
Szkoła, gdzie nie ma chłopców. A może to lepiej... (Natalia Nózka)	6
Jak wiatr poruszała nami muzyka (Andrzej Barć)	9
„Zaraz będzie ciemno!” (Klaudia Kaczmarczyk, Jakub Mączka)	12
„Grubasie, pieprzony, zniszczę ci życie!” (Justyna Harmaj)	17
Wyniani z raju (Andrzej Król)	19

ROZMOWA

– Chcę zobaczyć, na co mnie stać (Paulina Sury)	21
---	----

RECENZJE

Za oknem wdzięczności (Natalia Nózka)	26
Baśń o tym, że koniec końców każdy potrzebuje miłości (Ludmiła Dębowska)	27
Psia demokracja (Klaudia Kaczmarczyk)	27
Dobra płyta na pierwszy raz (Andrzej Barć)	29
Dostrzec piękno w brzydocie (Justyna Harmaj)	29
Smaki dzieciństwa (Jakub Mączka)	30
Krótką historią o pamiętaniu (Andrzej Król)	32
Uparty starzec (Kamil Dubiel)	33
Neapolitańska prawda o przyjaźni i zazdrości (Weronika Firek)	34

FELIETON

Garb ucywilizowany (Kamil Dubiel)	36
Mam serdecznie dość tych bestii! (L. Dębowska)	38
Otwórzcie uszy, ludzie! (Andrzej Barć)	40
W szponach fonu- i sieciolizmu (Monika Pawlik)	42
Jak przestać być „chomikarą”? Ja próbuję... (Natalia Nózka)	44
Płacić stówą za gumę do żucia (Klaudia Kaczmarczyk)	46
Rewolucja zjadła własne dzieci (Jakub Mączka)	48
Chciałem ją zjeść żywcem z miłości (Andrzej Król)	50
Dobra zmiana nie dotarła jeszcze do ludzi w podeszłym wieku (Weronika Firek)	51

Szanowni Państwo,

trzymając Państwo w rękach magazyn „XYZ” nr 3, będący zwieńczeniem kursu nr 11 odbytego w Studium Dziennikarskim Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie w roku akademickim 2017/2018 (to już 37. – sic! – rok działalności, który dobiegł końca...). Teksty, zróżnicowane gatunkowo, przygotowali słuchacze pod okiem wykładowców, wkładając w to niemało wysiłku i serca. Obróbkę redakcyjną i korektorską wzięłem na siebie.

Pierwsze próby zetknięcia się z prawdziwym dziennikarstwem okazały się dla wszystkich piszących sporym wyzwaniem. Jedni poradzili sobie z tym lepiej (szczerze gratuluję), inni nieco gorzej. Nie oznacza to jednak, że ci drudzy powinni się czuć mało komfortowo i z góry zakładać, iż nie będą w stanie pisać kiedyś wartościowych tekstów.

Warsztat pisarski można poprawić, jeśli się tylko będzie upartym, zdeterminowanym i pracowitym. Należy ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć, podpatrywać mistrzów pióra i doskonalić na każdym kroku sprawność językową.

Truizmem pozostaje stwierdzenie, że napisanie wartościowego tekstu dziennikarskiego jest pewnym wysiłkiem intelektualnym. Tak, to rzeczywiście trud, niekiedy duży, oraz dyscyplina, by umiejętnie pod względem językowym formułować myśli i nie pozwalać sobie na przelewanie na papier wszystkiego, o czym tylko pomyśli głowa.

Magazyn „XYZ” (wydanie trzecie) miał w założeniu zawierać wyłącznie teksty spełniające wysokie kryteria drukowalności (chodzi o stronę merytoryczną, językową). I tak się stało. Myślę, że ów profesjonalizm widać również w szacie graficznej i jakości druku. Serdecznie dziękuję za to grafikowi Januszowi Schneiderowi z Wydawnictwa Naukowego UP i drukarni Copy Shop.

dr Maciej Malinowski
redaktor naczelny magazynu „XYZ”



XYZ nr 3

Magazyn słuchaczy kursu nr 11 (rok akad. 2017/2018)

STUDIUM DZIENNIKARSKIE

Instytut Filologii Polskiej, Uniwersytet Pedagogiczny im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie
Kraków, 28 czerwca 2018 r.

Redaktor naczelny: dr Maciej Malinowski

Zespół: Andrzej Barć, Ludmiła Dębowska, Kamil Dubiel, Weronika Firek, Justyna Harmaj, Klaudia Kaczmarczyk, Andrzej Król, Jakub Mączka, Natalia Nózka, Monika Pawlik, Paulina Sury

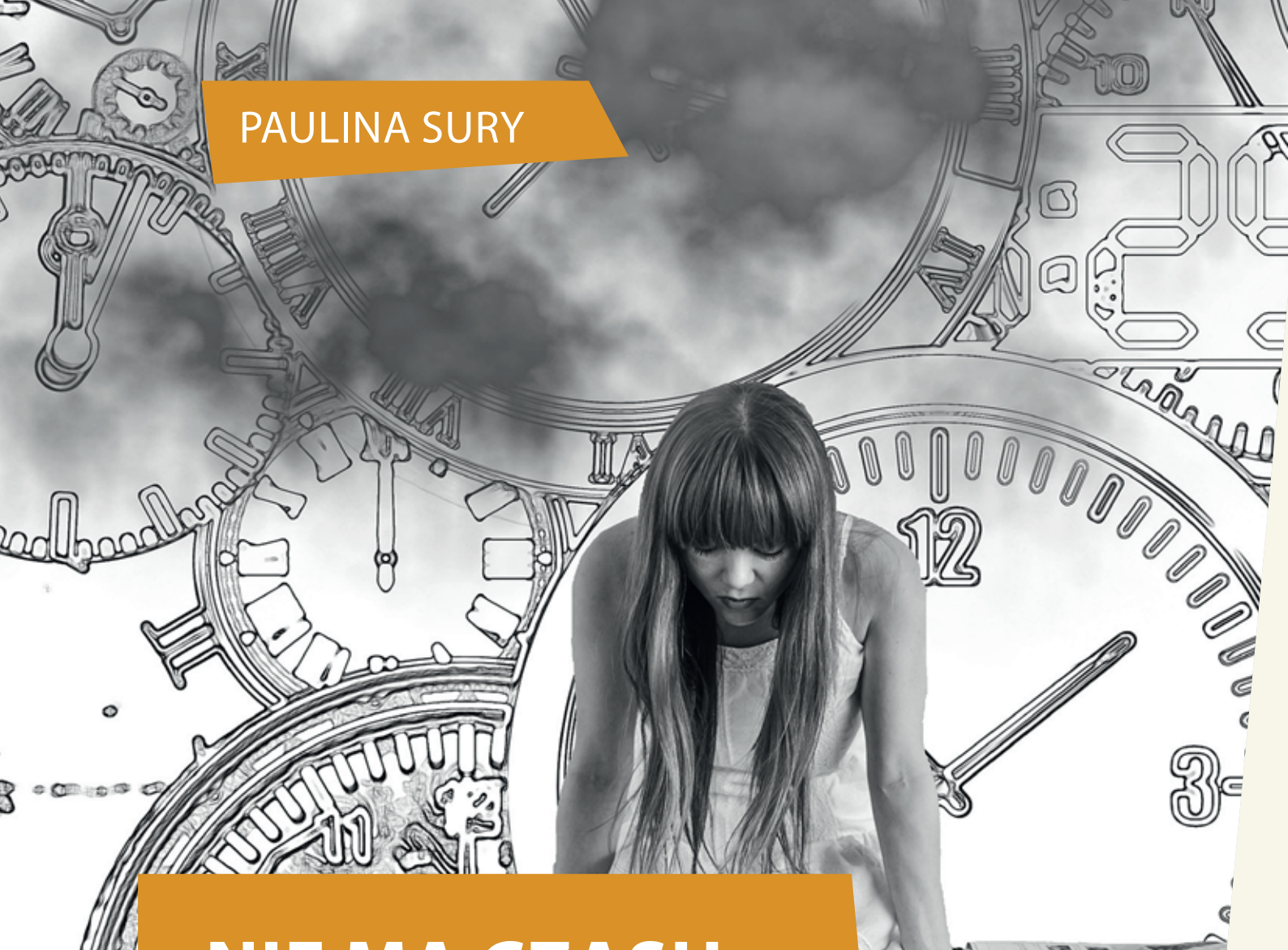
Kierownictwo działów: reportaże: Leszek Rafalski, rozmowy: Wacław Krupiński, recenzje: dr Marian Toporek, felieton: dr Edward Chudziński

Redakcja językowa, adiustacja i korekta tekstów: dr Maciej Malinowski

Opracowanie graficzne (projekt graficzny, dtp): winieta Joanna Sroka, okładka, layout Janusz Schneider Wydawnictwo Naukowe UP

Fotografie: autorów + archiwum

Druk: Copy Shop S.C., ul. Warmijska 1, 30-069 Kraków. Nakład 20 egz.



PAULINA SURY

„NIE MA CZASU. LECIMY, LECIMY!”

Urodziła swoją firmę z niczego, w bólach, przy nieprzespanych nocach i wielu wyrzeczeniach. Ale szczęście jej wyjątkowo sprzyja – ma dwie oddane pracownice...

Pracę rozpoczynają o siódmej rano. Codziennie przygotowują sklep do otwarcia: odkurzą, myją podłogę, składają koce, które klienci dzień wcześniej pozostawili w zupełnym bezładzie, porządkują opakowania z pościelą każdego dnia otwierane i dotykane, dokładają brakujące poduszki i kołdry, wyrównują zasłony i firany. Przed samym otwarciem zapalają wszystkie światła i włączają muzykę, jak mówi właścicielka:

„Po to, żeby się działo. Bo tu ma być życie, a nie grobowa atmosfera, musi być radośnie i jasno”.

Niedawno otwarty sklep tekstylny w małym mieście blisko Krakowa zachęca do wejścia głównie dzięki nieustannie zmieniającym się wystawom, obmyślanym – wzorem Ignacego Rzeckiego – najczęściej w niedziele. Stali klienci, związani już z wcześniejszym, mniejszym i mniej atrakcyjnym sklepem, zostawiają po sobie słowo uznania dla owocu pracy i osiągnięć właścicielki, a nowi klienci zapowiadają, że na pewno wrócą.

Żeby uzyskać taki efekt, nie wystarczy zwykłe szczęście czy żyłka handlowca – to wynik ciężkiej pracy ludzi tworzących firmę.

One

W salonie pracują dwie osoby – jedna od początku firmy. Mimo wielu niedogodności nie czują frustracji. Codziennie wstają, żeby sprzedawać, żeby firma się rozwijała, a pracodawca był zadowolony. Pracodawca to Anka, ich znajoma ze szkolnych lat: z pozoru niczym się niewyróżniająca kobieta – dość drobna, niska o blond rudawych włosach. Nade wszystko jednak energiczna.

Nawet za bardzo. Do południa pije 2–3 kawy, więc część tej energii pochodzi stąd, ale reszta to ona sama. Już nie chodzi, lecz biega, nie myśli, lecz działa, wszystko w nienaturalnym, wytrącającym z równowagi tempie. Urodziła swoją firmę z niczego, w bólach, przy nieprzespanych nocach i wielu wyrzeczeniach.

Pracownice to siostry wychowane bez ojca, w biedzie, przy braku stabilizacji emocjonalnej. Młodsza z nich – Gosia – zewsząd szuka akceptacji. Zamknięta w sobie, cicha, z opuszczoną głową, daje z siebie wszystko, co może, by spełnić się w roli dobrego pracownika. Ma bardzo miły, dziewczęcy głos, który jednak połączony z często rozbieranym, zakłopotanym wzrokiem, ujmuje jej powagi.

Starsza siostra – Justyna – skrajnie różni się od młodszej zarówno wyglądem, jak i charakterem. Ma już swoją rodzinę: dwójkę dzieci oraz męża – „Starego” – który wcale stary nie jest. Więcej w niej dystansu do życia. I choć od dawna nie ma lekko, często się śmieje i żartuje.

Siostry łączy niezwykła więź.

Na pytanie, czy nie ma już dość tej pracy, ludzi i ciągłego pędu, Gosia odpowiada:

– Czasem mam. Ale z drugiej strony... co ja bym robiła? Dzieci nie mam, z mężem jest jak jest, a tu przynajmniej coś się dzieje.

Dziewczyny nigdy nie pracują po osiem godzin. Do tej pory zawsze było dziesięć i więcej, do tego soboty, ale im to nie przeszkadza. Jak mówi Justyna:

– *Lubię tu przychodzić, zresztą przecież Anka sama tego nie udźwignie. Jest tyle pracy, że ktoś jej musi pomóc.*

Właścicielka pracuje siedem dni w tygodniu, zatem ich pięćdziesiąt osiem godzin to według pracownic żaden wyczyn, żadne poświęcenie. Zatarła się gdzieś granica między tym, że muszą, i tym, że chcą, wpadły w swoistego rodzaju kierat, w którym po prostu tak się pracuje, tak się funkcjonuje.

Codziennosc

Przychodzą do pracy jak do siebie. Śniadanie wspólne, często z szefową, starannie przygotowywane w rodzinnej atmosferze bez troski. Razem. Wspólnie planowane obiady z dowozem do firmy, chwilowe przy tym pogawędki o niczym. Traktują to miejsce jak dom rodzinny. Zwierają się ze swoich problemów, szukają rad, pocieszenia, wsparcia. I wszystko to dostają. Sklep stał się ucieczką przed codziennością, azylem, do którego można przyjść, w którym można zostać, gdy jest ciężko, gdy nie ma co ze sobą zrobić.

Odnosi się wrażenie, że w tej pracy siostronom nigdy nie chodziło wyłącznie o pieniądze. Zarabianie – owszem, ale ważniejsze dla nich było to, by firma mogła dalej funkcjonować, żeby mieć pewność, że nie upadnie i żeby było gdzie przychodzić. Justyna co prawda wciąż marzy o własnym mieszkaniu, ale to raczej fantazja z dziedziny tych, które dobrze sobie co jakiś czas przypomnieć, by mieć poczucie, że się jednak do czegoś dąży.

Ich zdziwienie na twarzach połączone z zadowoleniem z dobrego utargu nie wynika z nadziei na premię, z myśli o podwyżce – jest radością z zysku firmy. Do tego dochodzi zachwyt nad możliwościami zarobkowymi sklepu i zadowolenie z dobrze wykonanej pracy, z siebie. To ostatnie jednak jest niezwykle



rzadkie: skromność i nieco drażniące, acz nie-udawane niedowartościowanie są tu cechami dominującymi.

Zaangażowanie

Praca w sklepie do sielanki nie należy. Nawal obowiązków – przytłaczający. Firma się rozwija, a zatem wdrażanie nowych pomysłów, zmiany, ciągle sprzątanie, porządkowanie, układanie, składanie, rozkładanie, wykładanie stanowią nużącą codzienność; do tego męcząca klientela, pytania o jakość, porady i gust...

Tylko ludzie w pełni zaangażowani w to przedsięwzięcie są w stanie w nim uczestniczyć, ponieważ atmosfera rodzinna, którą zdają się tworzyć, mimo wszystko pozostaje tylko pozorna. Jest szefowa, która zarządza, i są pracownice, które mają wykonywać polecenia. Jeśli tworzy się tam dom, to dom z naleciałościami patologicznymi, gdzie euforia równoważona bywa stanami depresyjnymi i lękiem. Gdzie miłe śniadanie pozostaje zwiastunem zimnego, przerywanego obiadu jedzonego prawie na stojąco, a współczucie i wyrozumiałość zamieniają się w utyskiwanie, pretensje i ogólne niezadowolenie.

To specyficzne miejsce, w którym pracownik boi się wyjść na przerwę, gdy pracodawca straszy złym humorem:

– Nie muszę iść do spożywczego. Zjem sobie kiwi, bo akurat mam dwa w torebce.

– Ale nie jadłaś obiadu ?!

– To nic... może lepiej, żebym teraz nie wychodziła.

Z drugiej strony to miejsce, w którym pracownik sam z siebie, pomimo nalegań szefowej, potrafi zrezygnować z przerwy, wręcz wzbraniać się przed nią:

– A niby kiedy ja to zrobię? Widziałaś, ile jest jeszcze pracy? Nie ma czasu teraz na przerwę. Najpierw skończę, co trzeba, a potem najwyżej coś zjem.

Jedyną osobą, która zdaje się wiedzieć, gdzie jej miejsce, gdzie zaczynają się obowiązki, a gdzie kończą prawa w tej niewielkiej ni-by-rodzinie, jest szefowa, dla której wygodna pozostaje pozycja lidera wśród cierpiętniczej załogi.

Jej ulubiony zwrot: „Nie ma czasu. Lecimy, lecimy!” – bojowe zawołanie, które z czasem



przerodziło się w bezmyślnie powtarzane hasło, już dawno przestało być motywujące dla kogokolwiek. To, co pobudza do działania, to jej zaangażowanie, sposób, w jaki radzi sobie z problemami i przeciwnościami. Imponuje to dziewczynom, dzięki temu chcą jej dotrzymać kroku.

Czy szefowa, w związku z tym, wykorzystuje swoją pozycję? Nie musi. Z własnej woli pracownice robią więcej, niż się od nich wymaga.

Mimo wszystko...

Obie dziewczyny żyją w tej dziwnej wspólnocie i na swój sposób jest im dobrze, czują się bowiem jednością, tworzą w swoim przekonaniu coś, czego brakowało im w domu rodzinnym. Tam jest ich miejsce i choć pewnie czasem by chciały, żeby wyglądało ono inaczej, to innego miejsca nie ma. Podwyższenie kwalifikacji nie było nigdy rozwiązaniem, a zmiana życia osobistego zdaje się być poza zasięgiem albo kosztuje zbyt dużo. W pewnym sensie więc z braku alternatywy, w pewnym zaś dzięki względnie ułożonej już i stabilnej przyszłości zadowolają się tym, co jest. ■



NATALIA NÓŻKA

Na równi z nauką poszczególnych przedmiotów uczennice praktykują tak zwane cnoty. Co miesiąc przyglądamy się innemu przymiotowi. W kwietniu była to cierpliwość...

SZKOŁA, GDZIE NIE MA CHŁOPCÓW. A MOŻE TO LEPIEJ...

Dziewczynki w granatowo-czerwonych mundurkach idą same lub wysiadają po dwie-trzy z samochodów. Zaplecione warkocze, kucyki, uśmiechnięte buzie... Wszystkie kierują się w jedną stronę – na lekcje do szkoły, w której nie ma chłopców.

Na pierwszy rzut oka szkoły też nie ma. Skutecznie przysłania ją gmach jednego z krakowskich salonów firmowych przy ul. Radzikowskiego w Krakowie i ściana zieleni.

Od rodziców się zaczęło

„Źródło”, bo taką nazwę nosi owa Niepubliczna Szkoła Podstawowa, prowadzone jest przez Stowarzyszenie Wspierania Edukacji i Rodziny „Sternik”. Placówka powstała w wyniku oddolnej inicjatywy rodziców.

– System nauczania i wychowania opiera się tutaj na trzech fundamentach: tożsamości i antropologii chrześcijańskiej, edukacji spersonalizowanej i pomocy rodzicom – podkreśla Maria Kowalska, wicedyrektorka szkoły i mama jednej z uczennic.

Kształcenie jest odpłatne.

– Podchodzimy jednak indywidualnie do tej kwestii. Mamy w szkole uczennice z rodzin wielodzietnych, czasami kilka z nich podejmuje u nas naukę. Nie chcemy, aby pieniądze stanowiły przeszkodę – tłumaczy pani Maria.

W szkole uczy się 120 dziewcząt w klasach I–VI, a grono pedagogiczne liczy 18 nauczycielek.

– Czy pracują w tej szkole mężczyźni? – pytam.

– Nie, ale obok jest szkoła męska – dodaje z uśmiechem wicedyrektorka. – Mamy również opiekę duszpasterską kapłana.



Angielski na schodach

W przedsionku szkoły unosi się zapach książek. Po prawej stronie wisi wielka antyrama, na niej widnieją podpisane zdjęcia rodziców, nauczycieli i uczennic. Nad całością napis: „Czerpać ze Źródła”.

Wchodzę po wysokich schodach i widzę, że ktoś na nich coś napisał. Na każdym stopniu znajduje się zwrot po angielsku wraz z tłumaczeniem. Szkolne korytarze zdobią prace plastyczne. Wyróżniają się koszyki wielkanocne wykonane przez dziewczęta z klasy I i wystawa malarstwa prehistorycznego uczennic klasy V. Sceny, zwierzęta, narzędzia z tamtych czasów przykuwają uwagę, wyglądają bardzo realistycznie.

Drzwi do kolorowych sal lekcyjnych są lekko przeszkłone. W środku skupione twarze, skrzętnie coś notujące. Nad ich głowami globusy, kolorowe zegary, układy planet. Nieco dalej, w innej sali, słowniki duże i małe, masywne i drobne. Wokół słychać radosny gwar.

Przez kolejny korytarz nie tak łatwo przejść, ponieważ trzeba ominąć stojący w centrum stół do ping-ponga. W samym rogu korytarza stoi sofa zachęcająca do odpoczynku.

– W naszej szkole łamiemy stereotypy. W grupie jednorodnej dostrzega się subtelne różnice, ale nie ma stereotypowych porównań np. w wykonywaniu obowiązków czy poleceń nauczycielek oraz w zainteresowaniach – wyjaśnia pani Maria.

Czekając na pamiątkę od taty

Z Alicją Kowalczyk, wychowawczynią klasy III, kobietą o szczerym uśmiechu i łagodnym, choć mocnym głosie, siedzimy w pomieszczeniu socjalnym. Zapach herbaty unosi się w powietrzu. Cierpliwie tłumaczy mi, że edukacja zróżnicowana rozumiana jest często jako oddzielne kształcenie dziewcząt i chłopców, a to duże uproszczenie. Projekt szkół „Sternika” bazuje na tym, by w pełni odkryć potencjał drzemiący zarówno w dziewczynkach, jak i w chłopcach. Wykorzystujemy w pracy metody dostosowane indywidualnie do tempa rozwoju dziecka.

Dzwonek przerywa rozmowę. Pani Alicja prowadzi mnie do swojej klasy. Dziewczęta naturalnie podbiegają, niektóre przytulają się do nauczycielki. Uśmiechają się do mnie.

– Ładną ma pani torebkę – słyszę od Anielki.

– Dziękuję – odpowiadam. – A Ty masz dziś torebkę czy plecak?

– Ja mam plecak, ale niezbyt ciężki – odpowiada rezolutnie.

– Dziewczęta, usiądźcie na swoich miejscach, sprawdzę obecność – słychać tak dobrze znaną nauczycielską prośbę.

Edukacja zróżnicowana, a tu prawie wszystko jak w zwykłej szkole. Jednak da się zauważyć coś zaskakującego.

W pewnej chwili, bez słowa przypomnienia, uczennice gromadzą się wokół małej świecy przy końcu sali. Jedna z nich zapala płomień i rozpoczyna się modlitwa: „Polecam Ci oczy moje, uszy moje, usta moje, serce moje, całego siebie”, a dziewczęta równolegle ze słowami, z ogromnym przejęciem wskazują na poszczególne zmysły. Modlitwę nie kończy słowo „amen”, ponieważ przychodzi czas, by każda z dziewcząt miała możliwość wypowiedzieć na głos, za co się modli.

O co można prosić, mając 9 lat?

– O zdrowie dla mamy naszej Marysi, żeby szybko wyszła ze szpitala – mówi jedna z dziewczynek, trzymając za rękę ową Marysię.

– Żeby tatuś wrócił dzisiaj szczęśliwie z podróży i kupił mi pamiątkę – dodaje inna.

Zanim coś zrobimy, to myślimy

Na ścianie wisi tablica, a na niej duża, biała kartka: „Kodeks klasy III”. Każdy punkt przycięga wzrok innym charakterem pisma i innym kolorem. Jeden przypomina: „Witamy się i żegnamy, używając zwrotów grzecznościowych”. Obok niego cenna rada: „Zanim coś robimy, to myślimy”.

Nie brakuje zaleceń dotyczących zachowania, eleganckiego wyglądu czy unikania kłótni w rozmowie. Jednak, obok kodeksu, szczególną uwagę zwraca duży napis: „Cnoty – nasze wyzwanie”.

– To coś, co nas wyróżnia – wyjaśnia wicedyrektorka. – Duży nacisk kładziemy na wychowanie. Staramy się zbudować w dziewczynkach zdrowe podstawy moralne, kształtować ich charakter. Dlatego na równi z nauką poszczególnych przedmiotów uczennice praktykują tak zwane cnoty. Co miesiąc przyglądamy się innemu przymiotowi. W kwietniu była to cierpliwość.

Dziewczynki uczą się według tej samej podstawy programowej, na której opiera się nauka w szkole tylko dla chłopców. Uczennice korzystają z powszechnie dostępnych podręczników, mają normalne lekcje, zwyczajne przedmioty.

– Niezwykle ważna jest dla nas współpraca domu i szkoły – podkreśla Maria Kowalska. – Rodzice mogą liczyć na wsparcie opiekuna – tutora. Pozostaje on w ścisłym kontakcie z rodziną i spotyka się z obojgiem rodziców trzy razy w roku. Pomaga to sposobem spójny i jednorodny, zarówno w szkole, jak i w domu, wychowywać i uczyć.

– Rodzice z własnej inicjatywy nawiązują kontakty między sobą, integrują się, często dzielą obowiązkami. Rano jeden rodzic przywozi kilkoro dzieci, a po szkole inny je odbiera i zawozi do domów – dodaje wicedyrektorka.

Aleksandra Steć, mama jednej z dziewczynek, podkreśla, że oprócz tutoringu każdy rodzic może skorzystać z szeregu konferencji, wykładów i kursów, a nauczyciele są zawsze w gotowości, by się spotkać i porozmawiać o córce.

– Z tej współpracy wynika wiele dobra – podkreśla.

Nie tworzymy getta

– W szkole są „Zajęcia z plusem” dla uczennic wychodzących ponad program nauczania oraz lekcje wyrównawcze dla tych, które nie radzą sobie w nauce – mówi Maria Kowalska. – Mamy ofertę kół zainteresowań, balet i inne zajęcia dodatkowe. Dziewczynki uczestniczą w konkursach szkolnych i międzyszkolnych. Angażują się także z rodzicami w różne działania charytatywne.

– Nie tworzymy getta – dodaje wicedyrektorka. – Dzieci kończą lekcje najpóźniej o godz. 15.30. To jest czas na wychodzenie do innych środowisk, a przede wszystkim na spędzanie czasu z rodziną i budowanie relacji w domu. Najlepszej ze szkół. ■



JAK WIATR PORUSZAŁA NAMI MUZYKA

Na warsztatach gospel co roku przeważa repertuar lekki i łatwy do nauki. Podczas tegorocznych zajęć było do przerobienia dziewięć utworów, w większości na trzy głosy: sopran, alt i tenor, gdyż na nich opiera się muzyka gospel

Ponad dwieście osób kołysało się równomiernie – w lewo, w prawo, w lewo, w prawo... Wszyscy śpiewali. Radosne brzmienie sopranów, altów, tenorów i basów wypełniało salę. I ja tam stałem, w tym wielkim lesie uniesionych rąk, i kołysałem się razem z innymi. Jak wiatr poruszała nami muzyka.

Przedarliśmy się przez Kraków i powoli – chociaż mojego przyjaciela Krzysztofa jechał dość sprawnie – zagłębialiśmy się w lekko górzysty krajobraz. Radio „Pogoda” w samochodzie wywoływało przyjemniejszy nastrój niż pogoda

zza szyb. Krzysztof co chwila próbował się zorientować, gdzie jesteśmy, częściowo dla słabowidzących: mnie i drugiego przyjaciela Piotra, który z nami podróżował.

Jechaliśmy do Sieprawia na coś upragnionego i wyczekiwanego od dawna, coś, co zrelaksuje nas, przyniesie ukojenie wszelkim nerwom i... po prostu da kopa do dalszego działania. W to przynajmniej mocno wierzyliśmy.

Dotarliśmy prędko – w jakieś pół godziny. Tam wszystko potoczyło się szybko i miło: rejestracja, przywitanie z główną organizatorką Ogólnopolskich Warsztatów Gospel już przy drzwiach (pamiętała mnie i Krzyśka), przekazanie nam identyfikatorów i śpiewników przez dwie wolontariuszki. Piotrek nie wiedział, czego się spodziewać. Ja i Krzysiek byliśmy tu już rok temu; zresztą z tego rodzaju aktywnością, w jakiej mieliśmy uczestniczyć, obcujemy niemal na co dzień.

O osiemnastej prawie wszyscy, którzy mieli się zjawić, dotarli na salę prób, czyli szkolną halę widowiskowo-sportową z mnóstwem krzeseł. Na początek – obowiązkowe ćwiczenia rozgrzewająco-rozciągające. Po falowaniu głową, wymachach rękami, wyciąganiem się jak najwyżej, skłonami do podłogi przyszedł czas na rytmiczne syczenia (jakby dwusetka węży czaiła się na ofiarę), kłaskania językiem (jakby tyle samo koni stępowało po sali) czy robienia „prprprprprprprpr”.

Potem przyszedł kolej na „Do mi sol mi do fa la fa do mi sol mi dooo” czy „dodododo rererere mimimimi rererere doooo”, które trzeba było wyśpiewać – coraz wyżej i wyżej. A każdy rozciągał, jak potrafił (jak go nauczono) albo po prostu jak mógł (był w stanie). Było to ćwiczenie, dzięki któremu wokalni nowicjusze przełamali pierwszą granicę wstydu oraz bojaźni przed samym sobą i sięgnęli głosem trochę wyżej niż zwykle – przy goleniu czy kąpieli pod prysznicem.

Do takich podśpiewywań ochoczo przyłączył się zespół muzyczny złożony z perkusji, pianina cyfrowego i gitary basowej. Dyrygowało nami dwóch Colinów – radosnych, otwartych i spontanicznych facetów prowadzących warsztaty, na które przyjechaliśmy. Od trzydziestu lat uczą muzyki gospel. Widać, że ko-

chają to, co robią, i że robią to dla ludzi, ale przede wszystkim na chwałę Boga.

Na warsztatach co roku przeważa muzyka lekka i łatwa do nauki. Podczas tegorocznych zajęć mieliśmy do przerobienia dziewięć utworów, w większości na trzy głosy: sopran, alt i tenor, bo na nich opiera się muzyka gospel.

Basy – do których należałem – łączyły zazwyczaj siły z paniami o niskim głosie, choć w trzech utworach mogły się popisać same. Przy każdej nowej piosence Colinowie uczyli nas pojedynczych linii melodycznych, po czym łączyli je wszystkie. Wychodziło różnie, ale prowadzący cierpliwie dążyli do sukcesu. W tłumie radosnych ludzi wokół, śpiewających i ruszających się w ten sam sposób, można się było poczuć jak na koncercie. Zwłaszcza że wszędzie rozstawione były krzesła, przed nami znajdowała się scena z prowadzącymi, a z jej boku prezentował się zespół. Do tego po każdym próbnym utworze żywo reagowaliśmy aplauzem.

Tak wyglądały warsztaty przez całą sobotę i pół niedzieli. Atmosfera zmieniała się, gdy wyszliśmy na drewniane deski sceny i zaprezentowaliśmy się najpierw na próbie akustycznej, a potem na koncercie finałowym.

Po wstępnych przemówieniach hala widowiskowo-sportowa gimnazjum w Sieprawiu wypełniła się hukiem kilkunastu bębnow i bębenków, których amatorzy również mieli tu przez weekend swoje warsztaty.

Wreszcie przyszedł czas na nas – Colinów i chórzystów. Popłynął gospel i wcześniejsze skojarzenia z uczestniczeniem w koncercie teraz zmieniły się w realne doznania. Tyle że to my występowaliśmy dla innych – dla dwukrotnie liczniejszej od chóru publiczności. Ta siedziała na rozstawionych na podłodze krzesłach i na balkonach (trybunach sali).

Na scenie śpiewali Colinowie i – w niektórych piosenkach – soliści, a za nimi falował chór. Tak, falował, przywodząc na myśl las, zwłaszcza gdy w górę szły ręce. Ponad dwieście postaci kołysało się równomiernie – w lewo, w prawo, w lewo, w prawo...

A ja razem z nimi. Jak wiatr poruszała nami muzyka. Pobudzała nas do ruchu i do życia, orzeźwiała i dawała energię.



Muzykę wzbogacała iluminacja świetlna. Oślepiające reflektory oraz mniejsze lampy malowały ponad chórem żółte, rozchodzące się promienie. Śpiewaliśmy w różnych klimatach.

Przy żwawych i głośnych piosenkach cały chór kipiał energią – śpiewał, ile sił w płucach, podskakiwał, klaskał, tupał. Scena, wprawiana w drganie uderzeniami stóp, wybrzmiewała donośnym pomrukiem. Koncertowa atmosfera szybko udzieliła się publiczności, która dołączała do nas w śpiewie i klaskaniu. Te żwawe piosenki to m.in.: „Consider it's done”, „Lord, I lift your name on high” czy „I will go with Jesus name”.

Melancholijne utwory powodowały natomiast większy spokój i nie tyle powagę, co zadumę. Na przykład „Trust me” i „Breathe”. Jednak szczególnie swą melancholią, melodią i przekazem porwała serca pieśń „Any day now” opowiadająca o oczekiwaniu cudu mającym nadejść lada dzień.

– Bawimy się na warsztatach, ale to nie jest tylko zabawa. To modlitwa, wspólne przeżywanie radości, dzielenie się swoim smutkiem. To czas, kiedy ładujemy swoje akumulatory na kolejny rok – mówi słuchaczka koncertu, Magdalena z Sieprawia.

– Myślę, że muzyka jest tylko nośnikiem i takim jakby elementem zachęcającym. Zawiera jednak w sobie coś więcej niż tylko treść muzyczną – treść głęboką, biblijną. I to jest właśnie to! Chciałbym, żeby młodzi ludzie wyjeżdżali z warsztatów z takim właśnie biblijnym zainteresowaniem – dodaje Szymon Markiewicz, klawiszowiec i jeden z organizatorów.

Warsztaty w Sieprawiu to także spotkania ludzi z pasją, oddanych muzyce i chcących nawiązywać nowe kontakty.

– Ważne jest w tych ludziach to, że przepełnieni zostali tą muzyką i gospel to po prostu ich życie – podsumowuje w telewizji Myślenice ITV Ewa Kapelska-Słysz, główna organizatorka tego wydarzenia.

Chórzystka Gabriela zwraca z kolei uwagę na jeszcze jeden aspekt warsztatów:

– Najprzyjemniejsze było to, że wszyscy razem zrobiliśmy coś w tak krótkim czasie. Wszystkim się udawało i... cieszyliśmy się z tego. ■





KLAUDIA KACZMARCZYK

JAKUB MĄCZKA

„ZARAZ BĘDZIE CIEMNO!”

Ogólnopolski konwent miłośników fantastyki odbywający się corocznie w Poznaniu to prawdziwy fenomen...

Kraków, 17 maja br.

Psiakrew! Jakby się niebo rozstąpiło. Leje jak z cebra, a zaraz trzeba ruszać. Ostatnie przygotowania zakończone, jadę po dziewczyny na przystanek. Torba z ubraniami już gotowa, ale muszę pamiętać o karimacie i śpiworze dla znajomej. Po raz kolejny sprawdzam, czy mam artefakty wstępu, tj. bilety na sam festiwal oraz na szczególnie oblegane wydarzenia w jego trakcie. Są. Można pędzić.

Moje towarzyszkę już czekają na miejscu zbiórki. Tylko trochę zmokły. Dla wygody własnej i z uwagi na problem z pociągiem powrotnym jedziemy samochodem. Jak się kilka dni później okazało, z wyborem trafiliśmy w dziesiątkę. Pociągi były przeładowane wracającymi

do domu fanami fantastyki. Przepelnione do tego stopnia, że składy wydłużono tak, iż nie mieściły się na peronach. Znaczne opóźnienia spowodowało też śmiertelne potrącenie na stacji Wrocław Brochów.

Nasza trasa wiedzie z Krakowa przez Katowice i Wrocław do Poznania. Dystans trochę ponad 450 km. Podróż zajmie około pięciu godzin. W tym deszczu trochę więcej, jak sądzę. Naprzód! „Pyrkon” wzywa.

Zaczął skromnie. Zorganizowany przez Klub Fantastyki „Druga Era” 6 marca 1999 r. w zwykłym osiedlowym domu kultury „Słońce” na os. Przyjaźni w Poznaniu jako „Dzień z fantastyką”, rok później przybrał miano „Pyrkonu”. Dziś to instytucja. Festiwal fenomen, odbywający się na terenach osławionych Międzynarodowych Targów Poznańskich, zajmując skromnie licząc ¼ powierzchni wystawienniczej. Ubiegłoroczny „Pyrkon” przyciągnął ponad 44 tys. uczestników (sic!). Co więcej, festiwal nie jest darmowy, za wejście trzeba zapłacić nawet 119 zł.



Poznań, tego samego dnia

Dojeżdżamy w czasie poniżej pięciu godzin. Niestety, jest już za późno, by odebrać akredytację i identyfikatory wstępu przed rozpoczęciem imprezy. Jutro rano czeka nas więc starcie ze słynnym pyrkonowym „kolejkonem”. To rodzaj zjawiska występującego w trakcie niektórych konwentów, objawiającego się koniecznością odstania swojego w ogonku do wejścia, sanitariatów bądź wydarzenia. Prześmiewcza i autoironiczna nazwa pochodzi od słowa „kolejka” oraz końcówki „-kon” (od angielskiej „-con”). Jest to klasyczny już sposób na tworzenie nazw zlotów i konwentów, np. ComicCon w San Diego.

Mimo pierwotnych planów nie decydujemy się na nocleg na terenie konwentu. Znajomy dysponuje wynajętą niemalże rok wcześniej kawalerką. Właściwie to jego zapobiegliwość zapewnia nam jakikolwiek dach nad głową. Dobrze, tj. w dostępnych cenach i odpowiednich odległościach od Targów, miejsca noclegowe w apartamentach, hostelach czy hotelach skończyły się już dawno temu, jeszcze w poprzednim roku.

Baza noclegowa całego województwa wielkopolskiego to ok. 43 tys. miejsc do spania. W Poznaniu jest ich jedynie trochę ponad 9 tys. Dla porównania: w 2015 roku na „Pyrkon” przybyło 31 495 gości, w 2016 roku 40 622, a w 2017 roku ponad 44 tys. Nie dziwota, że większość uczestników śpi na tzw. sleepie.

Sleeproom – miejsce przeznaczone do spania i odpoczynku, udostępniane przez organizatorów konwentów jego uczestnikom. Słowem kluczem jest tu „miejsce”. Konwentowicz dostaje do dyspozycji kawałek podłogi w wydzielonej na ten cel przestrzeni imprezy. Na mniejszych konwentach są to przeważnie sale lekcyjne albo gimnastyczne. W przypadku „Pyrkonu” sleeproom zajmował dwa pawilony wystawiennicze Targów. Konwentowicz musi więc mieć na wyposażeniu karimatę i śpiwór. Co zaradniejsi biorą z sobą materace turystyczne albo wręcz dmuchane łóżka.

Poznań, 18 maja

Stoimy w kolejce po nasze wejściówki. Lekko oniemiała, bo już czuć ogrom i rozmach wydarzenia. Kolejka, która przesuwają się od godziny, idzie sprawnie i wartko. Wszystkim kierują „Pomarańczowi Paladyni” w jaskrawych koszulkach – gźdacze (wolontariusze na „Pyrkonie”). I choć zjawiamy się spóźnieni, to jednak zdobywamy kolekcjonerskie kości. Para białych kostek dziesięciościennych trafia do naszych, i tak już zbyt pękatych, woreczków na kości.

Identyfikatory z naszymi pseudonimami zakładamy na szyję i wchodzimy.

Teraz trzeba znaleźć jakieś miejsce w cieniu i przewertować program. Ten jest spory, 40-stronicowy. Niestety, już na wstępie wita nas errata. Nagłe zmiany programowe to jedno z większych uprzykrzeń, tym bardziej że organizatorzy poprzynosili niektóre duże punkty programu, na które mamy wejściówki.

Trzeba opracować nową strategię na najbliższe dni. Nie zrezygnujemy ze spotkania z pisarką Robin Hobb, to pewne. Za bardzo kochamy jej książki. Sesja Q&A ma się odbywać w piątek zamiast w sobotę.

Skoro to już ustaliliśmy, możemy wybrać interesujące nas prelekcje. Moja towarzyszą sprawdza aplikację konwentową, a ja zaznaczam w programie. Na szczęście wzięła power

bank. Na terenie konwentu raczej nie naładuje telefonu. No chyba że na sleepie. Tam ładuje się ok. 50 urządzeń naraz. Wszystkiego pilnuje jeden gźdacz. Zaskakujące, ale nikt nie boi się o bezpieczeństwo swoich rzeczy. Na trzy dni w Poznaniu zapanowała utopijna harmonia.

Nie sposób uczestniczyć we wszystkich prelekcjach. Trudno nawet zaliczyć wszystkie, które są dla nas interesujące. W piątek między godz. 15 a 17 równolegle odbywa się ich aż 36. Konieczna jest zatem selekcja, tym bardziej że prelekcje to tylko jedna z wielu atrakcji.

Zaglądamy do „Obwoźnej Czytelni Komiksu”. Wybór zeszytów jest tak duży, że znajomy spędza tam właściwie dwa dni. Chętni ustawiają się w kolejkach po autografy ulubionych pisarzy.

Prelekcja to wykład prowadzony przez osobę znającą się na rzeczy, o bardzo różnych treściach, ale na pewnym poziomie ogólności łączący się z główną tematyką konwentu. Prelekcje zgłasza się do organizatorów przeważnie kilka tygodni lub miesięcy przed samym konwentem. Zgłoszenia są weryfikowane i oceniane, rzadko więc zdarzają się wystąpienia niskiej jakości. Prelekcje grupowane zostają w bloki/panele o określonej problematyce, np. literackie, komiksowe czy filmowe. Przykładowe prelekcje: „Psychologia głębi C.G. Junga”, „Filmy a gry komputerowe – specyfika pracy”, „Jak improwizować opis pod muzykę”. Do tych elementów programu można dla uproszczenia zaliczyć jeszcze spotkania z autorami książek/gier/muzyki czy panele dyskusyjne.

Poznań, 19 maja

W plecaku portfel ciąży nadmiarem pieniędzy odkładanych specjalnie na konwent. Kierujemy nasze kroki do „Krainy Wystawców”. Ta, zajmująca pawilon nr 5 (bagatela – 14 000 m²), gromadzi tysiące gości o każdej godzinie. Ścisk. Tłok. Zaczyna się robić coraz duszniej. Moja towarzyszka staje na palcach, by zobaczyć, co jest na stoisku.

Kupić można właściwie wszystko: gry fabularne, karciane i planszowe, książki i komiksy, stroje i średniowieczny oręż, dziwności i niesamowite gadżety czy ręcznie wykonaną biżuterię, a także grafiki i obrazy. W tamtym roku królowały wianki. To był hit. Co drugi miał

kwiatki na głowie. Mijamy kolejnego Geralta trzymającego tabliczkę z napisem *hug me*. Obrywam w głowę jakąś magiczną różdżką.

Dosyć tego, wrócimy, jak będzie mniejszy tłok. Trafiamy do pawilonu po brzegi wypełnionego sztuką fantastyczną, w tym modelem 1:1 roztraskanego na piaskach planety Jakku TIE Fightera.

Pawilon nr 6 zajmuje „Blok Gier Elektronicznych”. Są tu stoiska wystawców, w tym takich tuzów jak Blizzard czy Nintendo, strefy wolnego grania czy stanowiska, gdzie można się zapoznać z nowinkami technologicznymi. Chętni mogą spróbować nauczyć się tworzyć grafikę komputerową, a tym targanym wspomnieniami za dawnymi czasy oddano do dyspozycji „Strefę Retro” z komputerami, konsolami i grami sprzed lat i dekad.

Kilkakrotnie w ciągu dnia mijamy biały namiot rozstawiony przed wejściem. Przez cały czas trwania konwentu można tam zostać dawcą krwi oraz zarejestrować się jako potencjalny dawca szpiku. Inicjatywa „Krewni «Pyrkonu»” od lat cieszy się dużą popularnością. Jednak dla wielu do największych atrakcji „Pyrkonu” należy przebogata scena cosplayu.

Spotkamy tu całą wioskę Asterixa, postaci z gier, anime, filmów i komiksów. Trzeba uważać. Jednym nierozsądnym krokiem można wejść komuś w kadr i stać się częścią cosplayu. Omijamy konwentowiczów, którzy polują z aparatem fotograficznym na co atrakcyjniejsze cosplayerki. Ze smutkiem należy odnotować fakt, że choć jedną z naczelnych zasad „Pyrkonu” jest „Cosplay nie jest zgodą” („Cosplay is not consent”), to jednak wielu „myśliwych” nie pamięta, lub raczej nie chce pamiętać, o konieczności poproszenia o zgodę na fotografowanie czy obejmowanie.

„Cosplay” – w brutalnym uproszczeniu oznacza przebieranie się za postacie z filmów, komiksów, gier komputerowych, mangi, anime czy filmów animowanych lub też na stworzenie własnej kompozycji. Istotą cosplayu jest jak najdokładniejsze odwzorowanie odgrywanej postaci. Stroje, bardzo często samodzielnie wykonywane, posiadają obłędne szczegóły, a ich prezentacja wymaga przeważnie opracowania pewnego układu choreograficznego. Wbrew obiegowej opinii cosplay nie narodził się w Japonii i nie jest też ni-



czym nowym. Ów trend zapoczątkowano w USA już w 1939 roku. Nazwa pochodzi od angielskiego „costume playing”.

Poznań, 19 maja wieczorem

Wędrujemy na najważniejszy punkt programu. Wejściówki na koncert rozeszły się błyskawicznie. Wild Hunt Live na „Pyrkonie”! Podekscytowanie sięga zenitu. Będziemy słuchać muzyki z Wiedźmina na żywo. Zapobiegliwie przyszliśmy godzinę przed wydarzeniem (22:00). Kolejka zaczyna się już formować.

Z zaniepokojeniem obserwujemy, jak organizator każe zablokować drzwi ewakuacyjne, żeby łatwiej było kierować ludźmi. Miejmy nadzieję, że nic złego się nie wydarzy, ale zwracam im na to uwagę. Przynajmniej tyle, że się zmieszali. Widać nikłą wiedzę na temat przepisów przeciwpożarowych czy brak przeszkolenia w zarządzaniu tłumami.

Rozkładamy się na ziemi. Chcemy wypróbować grę, którą tego dnia kupiliśmy. Każą

nam się przesunąć. Przybyło ludzi. Miejsca jest mniej, więc wyciągamy książki. Jeszcze pół godziny. Znow musimy się przesunąć. Tym razem nie ma szans, by usiąść. W tłumie słychać pomruki niezadowolenia. „Zaraz będzie ciemno!”. Ktoś krzyczy. „Zamknij się!” Odpowiada mu z dwieście osób. My także. To taki gag z filmu. Słyszymy go bardzo często.

Koncert opóźnia się, ale włączono klimatyzację. To już coś. Po półgodzinie w ścisku zaskakująco sprawnie dostajemy się na salę. Koncert wynagradza wszelkie niedogodności.

Wracając tramwajem do mieszkania, ciągle jesteśmy pod wrażeniem. Koncertu i wszystkiego, co się składa na „Pyrkon” – jeden z największych na świecie konwentów miłośników fantasy. Chodzi o integrację. Prawdziwą, ludzką, osobistą i bezpośrednią integrację. O wspólne przeżywanie zjawiska.

Na „Pyrkonie” bardzo różniący się od siebie ludzie rozmawiają, dyskutują, poznają się, nawiązują przyjaźnie, grają czy jedzą razem, a często też śpią obok siebie. A to wszystko



w czasach określanych przez akademików jako posthumanistyczne, kiedy ludzie przestają się do siebie odzywać, gdy główną drogą komunikacji staje się zimny internet i niehumanitarna, ale wszechobecna sieć. Owa integracja to największa siła „Pyrkonu”, a ogół tej wspólnoty – prawdziwa moc fandomu.

„Fandom” – termin używany w odniesieniu do specyficznej subkultury, grupy społecznej zorganizowanej wokół obiektu wspólnego zainteresowania. Fandom miłośników fantastyki to niewątpliwie jeden z najlepiej zorganizowanych i najstarszych fandomów, jakie powstały kiedykolwiek. To wspólnota fanów szeroko rozumianego science fiction oraz fantasy. Organizuje zloty zwane „konwentami”, wydaje własne amatorskie czasopisma poświęcone fantastyce – „fanziny”, konstituuje się w klubach fantastyki. Kluby i fani zakładają organizacje fanowskie o zasięgu krajowym, kontynentalnym, a nawet światowym. „Fandom” nie jest terminem nowym, słownik Merriam-Webster odnotował go już w 1903 roku. Fandom fantastyki zaczął się kształtować na początku lat 30.

Kraków, 20 maja

Kurz podróży powoli opada. Raptem kilka godzin temu, po południu, słuchaliśmy prelekcji o aspektach transhumanizmu w komiksie. Powoli się rozpakowujemy, a umysły już planują, na jaki następny konwent pojedziemy. Pozostaje uczucie satysfakcji i pustki. Tęskni się nawet za tłumem w hali wystawców. Przez parę dni byliśmy w innym świecie. ■

OD ZAGUBIONEGO, NASTOLETNIEGO OJCA

PO STALKERA I MORDERCĘ

JUSTYNA HARMAJ

„GRUBASIE, PIEPRZONY, ZNISZCZĘ CI ŻYCIE!”

Sara ma dwadzieścia cztery lata, mądrą, sześćioletnią córeczkę Marysię i wyrozumiałego partnera, z którym w dużym mieście wynajmuje mieszkanie. Pracuje w branży spożywczej, wiecie spokojne i uczciwe życie. Niechętnie rozmawia o przeszłości, ale zgodziła się opowiedzieć mi swoją historię.

Kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, miała 17 lat. Właśnie rozpoczęła drugi rok nauki w technikum. Była załamana podobnie jak jej chłopak Paweł, z którym tworzyła parę od dwóch lat. Znali się od dziecka, dzieliło ich zaledwie kilka bloków. O tym, że spodziewają się dziecka, przyznali się rodzicom, przyjaciółom i nauczycielom dopiero po czterech miesiącach.

Brak pracy i własnych oszczędności, w gło-
wie tylko wypadły na imprezy i spotkania ze znajomymi, a tu w jednej chwili wszystko się sypie i dorośli zaczynają wymagać od nich, by szybko pogodzili się z odpowiedzialnością. Nie bardzo im to odpowiadało.

Do tej pory nie musieli się martwić o nikogo innego, tylko o samych siebie i o oceny w szkole, w której zresztą dość dobrze im szło. Do czasu, kiedy to Paweł porzucił edukację. Właśnie wtedy życie Sary powoli zaczęło się zamieniać w koszmar.

– Rozstaliśmy się. Bardzo mnie to bolało i nie mogłam się pogodzić z tym, że Paweł ode mnie

odszedł. Zostawił mnie dla nieciekawych znajomych z marginesu społecznego i dla nowej dziewczyny, która znając całą naszą sytuację, nadal się z nim spotykała – wspomina Sara. – Chciałam dać nam szansę, nieraz dzwoniłam do niego z płaczem, prosząc, żeby do nas wrócił, albo żebyśmy się chociaż spotkali i porozmawiali o przyszłości naszego dziecka. Dziś wiem, jak wielkim było to błędem. Dużo pomogła mi rodzina, w końcu przestałam na niego naciskać, zwłaszcza po tym, jak dowiedziałam się o jego uzależnieniu od narkotyków.

Pewnego dnia w krótkiej rozmowie oznajmiła Pawłowi i jego matce, czego będzie oczekiwać po porodzie, jakich alimentów. Od tego momentu Paweł zaczął wysyłać do niej ubliżające jej SMS-y.

– Pisał: „Grubasie pieprzony, zniszczę ci życie”, by po niespełna godzinie wysłać wiadomość o nie-





skończonej miłości do mnie i do naszego dziecka. Całkiem pomieszało mu się w głowie.

Sara pokazuje SMS-y i wiadomości na komunikatorze internetowym:

„Nie będę sponsorował Ciebie i Twojego głupiego bachora! I tak pewnie nie jest mój!”.

„Mam nadzieję, że wracając do domu, wpadniesz pod samochód.”

Paweł nie pojawił się na sali porodowej ani nie odwiedził córki przez pierwszy rok jej życia.

Wyjechał za granicę, by ukryć się przed wymiarem sprawiedliwości, który podejrzewał go o rozbój. Kontakt z nim mógł stanowić niebezpieczeństwo dla dziecka, więc sąd zdecydował o odebraniu mu praw rodzicielskich. Wydawało się, że życie dziewiętnastolatki zaczęło się stabilizować.

Niedługo po tym skończyła szkołę i poznała obecnego partnera Przemka, a on pokochał ją i jej córeczkę. Nic nie zwiastowało kłopotów.

Paweł wrócił na chwilę do Polski, gdy został uniewinniony z zarzucanych mu czynów. Odnalazł kontakt do Sary i prosił o spotkanie z nią i córką.

– Byłam naiwna, myślałam, że ludzie mogą się zmienić – dodaje Sara. – Spotkaliśmy się pod nadzorem jego matki, która jako jedyna z jego rodziny miała kontakt z Marysią. Było normalnie, tak jak powinno być, ale nie mógł przetrwać tego, że inny mężczyzna wychowuje jego dziecko. Zaczął nas nachodzić, groził mi, że jeśli do niego nie wrócę, to wywiezie moją córeczkę za granicę i już nigdy jej nie zobaczę. Z przerażenia nie mogłam spać.

W 2013 roku w mieście doszło do starcia pseudokibiców dwóch lokalnych drużyn. Paweł był fanem jednej z nich i uczestnikiem bijatyki. W zamieszaniu śmiertelny cios nożem w plecy otrzymał jeden z kiboli, a narzędzie zbrodni sprawca wyrzucił nieopodal.

Na nożu odnaleziono ślady Pawła, który długo ukrywał się przed policją. Kiedy został złapany, przyznał się przed sądem do zabójstwa, chociaż utrzymywał, iż zrobił to nieumyślnie. Dostał wyrok skazujący go na dwanaście lat pozbawienia wolności.

Po tym incydencie Sara odebrała prawa do spotkań z Marysią również rodzinie byłego partnera.

– Chcieli wytoczyć mi o to sprawę w sądzie, ale chyba zrezygnowali, bo wszyscy urzędnicy byli po mojej stronie.

Pięć lat po tragedii i półtora roku od zakończenia procesu matka sześciolatki może odetchnąć z ulgą, chociaż przyznaje, że ciągle czuje ciężar zła, które ją spotkało. Nie wie, co się stanie, gdy Paweł opuści więzienie, czy kiedykolwiek będzie w stanie w pełni zaufać swojemu narzeczonemu Przemkowi, czy jeszcze kiedyś będzie mogła zająć w ciążę i żyć normalnie. Ale podkreśla, że będzie się starać z całych sił. Wszystko dla swojej córki i dla poprawy jej bytu.

– Marysia nie zna i mam nadzieję, że nigdy nie pozna historii swojego ojca. Nie pamięta też jego rodziny, a jej prawdziwym tatą prawie od początku był i zawsze będzie Przemek. ■

(imiona osób występujących w tekście zostały zmienione)



ANDRZEJ KRÓL

WYGNANI Z RAJU

Niekiedy jak para zakochanych trzymają się za ręce. Ewa pilnuje, żeby Adam nie wypił za dużo, bo przychodzi archanioł z gumową pałką i rozdziela ich na dwadzieścia cztery godziny

Kraków, ul. Wielicka. Sobota, 13 maja br., godz. 16.30. Tramwaj linii 13 wypełniony ludźmi, temperatura powietrza w środku sięga 25 st. Celsjusza.

W końcu wagonu siedzą dwie młode kobiety z psami i rozmawiają o wychowaniu swoich czworonogów, zaglądając do książki „Szkolenie psa. Jak wychować idealnego pupila”. Kilka rzędów wcześniej miejsca siedzące zajęli kobieta po pięćdziesiątce i mężczyzna w podobnym wieku, trzymający w dłoni jak berło butelkę harnasia. Ubrany jest w długie spodnie z kieszeniami na udach i koszulkę z krótkimi rękawami. Na głowie ma czapkę z daszkiem i otoczkiem, a stopy wsunięte w niebieskie klapki.

Długa spódnica kobiety o niskiej i wątłej budowie ciała – do kostek, z kwiecistymi wzorami i biała kurtka – nie pasują jakoś do słonecznego dnia. Siedzi skulona, z zamkniętymi oczami. Jej głowa osuwa się bezwolnie w kierunku szyby, a usta otwierają się tak, jakby chciała krzyczeć.

Mężczyzna reaguje na ten bezgłośny znak swej towarzyszki podróży i potrząsa nią.

– Ej no, tylko mi tu nie umieraj. Ej, co ci jest? – pyta głosem zdradzającym troskę, ale też niekompletne uzębienie.

Chwyta ręką opadającą głowę kobiety. Bezskutecznie.

Nagle sygnał przychodzącego SMS-a. Kobieta natychmiast reaguje, otwiera oczy i sięga do kieszeni po telefon. Naciska klawisz. Czyta:

– To córka. Pyta, gdzie jestem. Nie odpiszę. Nie chcę odpisywać – mówi ledwie słyszalnym głosem.

– No, mówię ci, żebyś się nie zamartwiała, bo się wykończysz... – odpowiada mężczyzna. – Wykończysz się... Po co to tak przeżywasz... Tak nie można... No, mówię ci... Tak nie można... Ja ci pomogę... Pomogę ci, ale mnie słuchaj... Zadręczą cię te córki... Niech ci dadzą spokój... To jest twoje życie... Ty jesteś artystka, a one tego nie rozumieją... Nie rozumieją... Rozumiesz... Kocham cię... Chcesz piwa?

Kobieta kiwa głową na znak, że zgadza się choć trochę z tą opinią i że chce piwa. Mężczyzna podaje jej harnasia, a towarzyszka podróży wypija jeden łyk i oddaje butelkę. Jej głowa znowu bezwolnie opada w kierunku szyby.

Na jednym z przystanków w centrum Krakowa wstali i wysiedli. Zniknęli w tłumie między kościołem Dominikanów i kościołem Franciszkanów.



Każdego dnia, przez cały rok, można ich zobaczyć razem. W małym miasteczku na południu Polski znają ich wszyscy. Adam i Ewa. On niewysoki, ale barczysty, z krzaczastą czupryną i ostrymi rysami twarzy wyrzeźbionymi przez testosteron. Ona nadal piękna, szczupła, choć skóra jej twarzy zrobiła się pergaminowa i blada. Ciągle wygląda jak dziewczynka o oczach lalki.

Oboje są stałym elementem małomiasteczkowego pejzażu. W porannym słońcu wychodzą z socjalnego baraku i wracają tu po zmierzchu, chowając się na noc, by gwiazdy na niebie nie przywoływały odwiecznej Kantowskiej maksymy moralnej. „Osią globową” ich świata jest piwo.

Niekiedy jak para zakochanych trzymają się za ręce. Ewa pilnuje, żeby Adam nie wypił za dużo, bo przychodzi archanioł z gumową pałką i rozdziela ich na dwadzieścia cztery godziny. I Adam przestaje być wtedy człowiekiem. Podobnie jak Ewa przestała być matką, gdy archanioł zabrał jej dzieci po tym, jak sąd a priori uznał ją za niezdolną do pełnienia zaszczytnej funkcji matki i oboje pozbawił praw do tworzenia podstawowej komórki rodzinnej, spychając na margines społeczny.

Od tamtej pory Adam zawsze ma na wszelki wypadek na nogach klapki, bo nie wymagają sznurowadeł, więc nie musi ich oddawać do

przechowalni w izbie wytrzeźwień. Mają więc tylko siebie. Gdy Ewa nie dość mocno pilnuje Adama, zajmuje się nim opieka społeczna. Ewa zostaje wtedy sama, a Adam śpi całą noc w „domku” na brudnym materacu wielorazowego użytku.

Ich stary drewniany dom stoi samotnie na rogu ulicy, w sąsiedztwie siedziby archaniołów. Z sufitu od wielu lat coś kapie na zbutwiałą podłogę. Nikt nie wie, czy to woda, czy złote łzy...

Tarnów, ul. Goldhamera, tuż obok Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Czwartek, 24 maja br., godz. 17.05. Na chodniku, przy ścianie stoi krępy, barczysty mężczyzna o siwej czuprynie. Ubrany w szare materiałowe spodnie, białą koszulkę i marynarkę. Obok niego kobieta, niższa o głowę, w długiej sukience i podniszczonej, kiedyś białej, kurtce.

Kobieta szarpie mężczyznę i głosem nietrzeźwym wykrzykuje:

– Ty pijaaaku! Musiałeś się uuupić?! Głuuupi jesteeeś!

Szarpanie za kołnierz marynarki przybiera na sile. Mężczyzna z trudem trzyma się ściany. Siła destabilizacji zwycięża i mężczyzna odcumowuje od ściany, robi trzy kroki w tył, traci równowagę, na granicy krawężnika wyskakuje z plastikowych kłapek i – z rękami uniesionymi przed siebie, w geście pożegnania ze ścianą – upada, tyłem, na plecy i głowę.

Głuchy odgłos uderzenia czaszki o asfalt odbija się od ścian pożydowskich kamienic. Samochód, wyjeżdżający zza zakrętu sąsiedniej ulicy, zatrzymuje się z piskiem opon. Drzwi się otwierają. Z samochodu wysiada kierowca.

– Co pani robi!?! – pyta zdenerwowany.

– Oopiiił się! Pijaaany jeeest! – odpowiada kobieta.

Mężczyzna leży na asfalcie wyraźnie zamroczony, z rękami uniesionymi ku niebu. Próbuje się podnieść. Siwa czupryna na potylicy zmienia kolor na purpurowy. Kobieta stoi obok kłapek na chodniku z rękami wspartymi na biodrach. Kierowca i przypadkowy przechodzień pomagają mężczyźnie wstać. Tajemniczy uśmiech kobiety zdradza poczucie tryumfu.

W opresyjnej patriarchalnej kulturze to ona ma ostatnie słowo.

– Tyj pijaaaku!

■



PAULINA SURY (rozmowa)

– CHCĘ ZOBACZYĆ, NA CO MNIE STAĆ

- MÓWI ŁUKASZ MAZIARZ. TWÓRCA MARKI *HILARIUS*,
ZAJMUJĄCY SIĘ PRODUKCJĄ DREWNIANYCH OKULARÓW

Sam patrzysz na świat przez produkowane przez siebie okulary?

– Kiedyś patrzyłem... Jedne z pierwszych oprawek, na których jeszcze eksperymentowałem, zrobiłem dla siebie... Obecnie jestem przysłówowym szewcem bez butów.

Od dawna zajmujesz się projektowaniem i produkcją drewnianych oprawek?

– Już w Liceum Plastycznym w Tarnowie, gdzie uczyłem się na kierunku meblarstwo artystyczne, kłębiły się w mojej głowie różne pomysły. Któregoś dnia trafiłem przypadkiem na projekty amerykańskiej firmy PROOF, zajmującej się produkcją drewnianych okularów przeciwsłonecznych. Koncept bardzo mi się spodobał, natomiast sam design już nie bardzo. Zacząłem szukać w internecie wzorów innych oprawek, ale wszystkie wyglądały bardzo podobnie, mało było takich, które by mi się rzeczywiście podobały. „Ja bym to zrobił znacznie lepiej” – pomyślałem. I tak to się zaczęło.

Ale to były dopiero początki...

– Poważnie zająłem się tym tematem na rok przed ukończeniem studiów w krakowskiej ASP. Ostatecznie stał się on moją pracą dyplomową. Wtedy powstała ogólna koncepcja technologiczna, pierwsze prototypy.





Na czym polega wyjątkowość twoich oprawek?

– Przede wszystkim na sposobie formowania drewna inspirowanym elastyczną budową klasycznych łuków strzeleckich. W skrócie oznacza to, że nie wycinam oprawek z gotowych kawałków materiału, ale stosuję własną technikę gięcia drewna, dzięki czemu okulary są przede wszystkim znacznie bardziej wytrzymałe, jednocześnie zaś zachowują lekkość formy. Technologia, którą stosuję, pozwala dodatkowo na łączenie ze sobą różnych gatunków drewna, dlatego każdy klient może stworzyć swój własny wariant kolorystyczny danego wzoru. I o to właśnie chodziło.

Czy twój pomysł spotkał się od razu z entuzjazmem?

– Jasne, że nie. Wielu było takich, którzy mówili: „Oprawki z drewna? Znowu?”. Wątpliwości miała nawet moja promotor, prof. Czesława Frejlich, ale jednak na tyle mi zaufała, że pozwoliła kontynuować temat oprawek, poszerzając go o opracowanie wizerunku marki.

Ten sceptycyzm nie dawał ci do myślenia?

– Brałem pod uwagę to, że kwestia oprawek zakończy się na pracy dyplomowej, z tyłu głowy migotała myśl, że mogą nie zyskać aprobaty... Nie zniechęcało mnie to jednak, nawet starałem się o tym nie myśleć. Kierowałem się intuicją i konsekwentnie realizowałem swoje zamierzenia.

Osobom, które sugerowały mi banalność pomysłu, odpowiadałem: stoły drewniane projektuje się i wytwarza od gotyku, a nie słyszałem, by ktoś ganił designerów za tworzenie nowych projektów drewnianych stołów. W tej profesji chodzi o pomysł, o kreatywność, nowe rozwiązania oraz świeże podejście do zagadnienia.

Jak widać, intuicja cię nie zawiodła. Twoje oprawki zostały wystawione w Gmachu Głównym Muzeum Narodowego w Krakowie na zbiorowej wystawie zatytułowanej „Z drugiej strony rzeczy. Polski dizajn po 1989 roku”. Jak podchodzisz do tego typu wyróżnień?

– Propozycja wzięcia udziału w wystawie w Muzeum Narodowym była pozytywnym zaskoczeniem. Takie wydarzenie nigdy nie jest bez znaczenia. Tym bardziej że cała wystawa zyskała wiele pochlebnych opinii.

A jakie na tobie zrobiła wrażenie? Bo rozumiem, że byłeś i widziałeś?

– Bardzo mi się podobało. Niestety z powodu braku czasu, gdyż nie mieszkam już w Krakowie, nie zdążyłem wszystkiego dokładnie obejrzeć. Z tego jednak, co widziałem, wiele projektów było ciekawych, niektóre mnie zaskoczyły, na przykład sygnalizacja świetlna. Wiele z eksponatów widziałem już wcześniej w katalogach, czasopiśmie czy internecie... Część



wystawy była interaktywna: na jednym krześle usiadłem, bo rzadko się zdarza, że można, a oprócz tego grałem na wielkim instrumencie, którego nazwy niestety nie pamiętam. I obok niego były moje okulary.

Raczej niewielkie w stosunku do tego instrumentu...

– No tak, trochę znikły. Kiedy wszedłem, to w pośpiechu nawet je przegapiłem. Ale to się chyba zdarza, gdy wystawa składa się z tak wielu eksponatów.

– **Wszystkie mniejsze projekty wystawione były na podświetlanej pleksi. W przypadku twoich oprawek nie do końca służyła im taka ekspozycja – zupełnie zatracił się ich charakter, znikło tworzywo...**

– Trochę tak, jednak taka była ogólna koncepcja twórców wystawy, nie wypada z nią dyskutować, tym bardziej że reszta projektów prezentowała się bardzo dobrze. Dla mnie najważniejszy był fakt, że doceniono moją pracę i wystawiono w tak prestiżowym miejscu.

Teraz osoby kupujące twoje oprawki będą mogły czuć, że posiadają na własność dzieło sztuki. To znacznie podnosi rangę produktu.

– Na pewno. Już zresztą miałem parę telefonów w związku z wystawą. Jakaś pani zadzwoniła do mnie, pytając, czy jest gdzieś w Krakowie

możliwość zobaczenia moich oprawek. Już chciałem odpowiedzieć – nieco żartobliwie – że w muzeum, ale ona mnie ubiegła i powiedziała: „Poza muzeum, bo tam już widziałam”.

Wystawa w Muzeum Narodowym nie jest jedynym twoim osiągnięciem. W 2015 roku zostałeś laureatem ważnego z punktu widzenia designerów międzynarodowego konkursu makeme! organizowanego w ramach Łódź Design Festival, w tym roku oprawki zostały wyróżnione znakiem jakości Must Have... Czy takie nominacje wpływają znacząco na reklamę marki?

– Takie wyróżnienia przynoszą przede wszystkim rozgłos. Nazwisko, marka stają się znane w coraz szerszym środowisku. Z punktu widzenia przedsiębiorczości chodzi mi oczywiście o każdą reklamę. Ale akurat w tym przypadku dodatkowo satysfakcjonuje fakt, że doceniły mnie osoby z branży. To zawsze jest bardzo miłe, gdy projekt bywa pozytywnie odbierany przez designerów czy krytyków, którzy potrafią dostrzec niuanse rządzące projektem: linie, kształtowanie, samo rzemiosło.

Ranga produktu wzrasta, a cena?

– Cena jest podyktowana czasem produkcji i nakładem pracy. Na wykonanie jednej pary oprawek potrzeba dwóch tygodni. Pewne etapy

wymagają czasu, aby drewno osiągnęło odpowiedni stopień wytrzymałości. Ręczna obróbka również zabiera sporo czasu. Każdy produkt staram się wykonywać z maksymalną dbałością o szczegół, stąd też cena...

Czy oprawki są dostępne tylko na terenie Polski?

– Nie, wysyłam je w różne części świata. Od początku działalności oprawki wędrują głównie za granicę, najczęściej do Stanów Zjednoczonych, choć miałem też zamówienia z Indii, Meksyku, Chile, Niemiec czy Dubaju. Natomiast po wprowadzeniu nowego narzędzia przymiarki, którym jest wzornik oprawek, od niedawna sprzedaż w Polsce zaczęła wzrastać.

Co to za wzornik?

– Ma on ułatwić wybór właściwego modelu. Wzornik zawiera osiem płaskich wybranych wzorów oprawek, które kształtem i kolorem odpowiadają końcowemu produktowi o tej samej nazwie. Są w różnych wariantach kolorystycznych i rozmiarach. Wysyłam wzornik do klienta, dzięki czemu może on spokojnie przymierzyć oprawki, zdecydować się na kolor lub też uznać, że nie są w jego typie.

To wygodne, zwłaszcza dla osób, które nie mieszkają w okolicy Chorzelowa, gdzie obecnie pracujesz.

– Chodziło o ułatwienie klientom wyboru wymarzonych oprawek przy jednoczesnym zwiększeniu sprzedaży internetowej na terenie kraju.

A jak sprawdzają się twoje oprawki w praktyce? Klient może mieć pewność, że będą trwałe, odporne na wilgoć?

– Długo pracowałem nad tym, by zyskały jak największą odporność na warunki zewnętrzne. Stąd też eksperymenty na moich pierwszych oprawkach. Dwa lata szukałem odpowiedniego materiału wykończeniowego. Był to czas prób i błędów, ale w końcu znalazłem to, czego szukałem. Pomimo wcześniejszych założeń

o całkowicie ekologicznym charakterze projektu nie udało się niestety żadnym naturalnym składnikiem zastąpić obecnego środka do wykańczania oprawek, który idealnie chroni je przed wilgocią. To małe ustępstwo, które wprowadziłem właśnie w celu zapewnienia jak najdłuższej żywotności oprawek.

Czy w związku z tym są one bezpieczne dla skóry?

– Tak, powłoki wykończeniowe są całkowicie hipoalergiczne, mają wszystkie atesty pozwalające na bezpieczny kontakt ze skórą.

Mówimy wciąż o efektach twojej pracy. Interesuje mnie jednak również druga strona: jak wygląda sama praca projektanta?

– To głównie praca umysłowa. Nie skłamię chyba, gdy powiem, że ciężka. Im więcej wprawy, tym lepiej, ale wiesz – najważniejsze w projektowaniu jest chyba uporządkowanie pracy, określenie etapów i konsekwentne trzymanie się planu.

Czyli dyscyplina?

– Tak, dyscyplina jest bardzo ważna, podobnie jak pasja i ten bakcyl, który się łapie w trakcie. Jak już wymyślę własny koncept do jakiegoś projektu, który zlecił klient, to łapię bakcyła, który pcha mnie dalej. Bo chcę zobaczyć, na co mnie stać, jak daleko mogę rozwinąć sam projekt, jak dużo innowacji mogę w nim osiągnąć.

Łatwiejsze jest projektowanie dla klientów czy wymyślanie własnych rzeczy?

– Różnie. Klient, który daje tzw. brief – wytyczne – zawęży poniekąd pole działania. Wytycza ścieżkę, dzięki której od początku wiadomo, w którą stronę iść. Jak się projektuje samemu, to najgorzej jest właśnie wybrać drogę. Trzeba wiedzieć, co chce się zrobić, a co najważniejsze, trzeba się samemu ograniczać. Ta wolność czasami jest najgorsza, najbardziej zdradliwa, gdyż daje zbyt dużo przestrzeni, w której nierzadko nie wiadomo nawet, od czego zacząć.

Ty już wiesz, w którą stronę podążać. Prowadzenie firmy daje więcej satysfakcji?

– Samo robienie opravek jest dokładnie tym, w czym się spełniam, tym, co lubię robić: projektowaniem, wytwarzaniem, projektowaniem maszyn. Ale firmy mam czasem dość. To ciągle wzloty i upadki. Papierkowa robota, kontakty z klientami, reklama... Wszystko nadal robię sam, czasami więc jestem tym zmęczony.

Ale firmę rozwijasz. Może ktoś kiedyś będzie robił to za ciebie?

– Byłoby miło... Ale jeszcze nie wiem, kiedy to nastąpi. Wiązałoby się to z zatrudnieniem również ludzi do wytwarzania samych opravek, a na to firma jeszcze nie jest gotowa.

Mówiliśmy do tej pory o sukcesach, osiągnięciach. Ale przecież pewnie były i potknięcia czy wręcz porażki...?

– Potknięcia... Cały etap produkcji jest nimi usłany. Mniejszymi, większymi... Czasem trzeba wiele razy wracać, żeby coś naprawić, zmienić. Najgorsze było zalanie mojej pracowni. Akurat leżałem złożony chorobą, gdy dostałem telefon, że w budynku, w którym wynajmowałem pracownię, doszło do pęknięcia rury. Wszystko było zalane: maszyny, sprzęt, a co najważniejsze – prototypy, modele, szablony... Cała moja praca uległa nieodwracalnej destrukcji. Zastanawiałem się, czy kontynuować Hilariususa. Było to w styczniu 2017 roku...

Niedługo potem przeprowadziłeś się do wspomnianego już Chorzelowa, gdzie masz pracownię.

– Myślałem o pozostaniu w Krakowie, ale szybko zorientowałem się, że nie udźwignę odbudowy Hilariususa sam. Rodzice zaproponowali, żebym – przynajmniej na jakiś czas – przeprowadził się do rodzinnego domu. Pomogli mi głównie przy załatwianiu kwestii formalnych związanych z ubezpieczeniem, odszkodowaniem, no i zorganizowali miejsce pracy. Dzięki ich pomocy mogłem się skupić na odtwarzaniu wszystkich zniszczonych rzeczy. Powoli udało się wskrzesić Hilariususa.

Nie żałujesz, że opuściłeś Kraków?

– Nie. W Chorzelowie jest wszystko, czego potrzebuję do produkcji opravek. ■

Łukasz Maziarz – właściciel i założyciel marki Hilarius zajmującej się produkcją drewnianych okularów, wyróżnionej znakiem jakości Must Have. Absolwent Liceum Plastycznego w Tarnowie na kierunku meblarstwo artystyczne oraz Policealnego Studium Zawodowego przy Liceum Plastycznym w Tarnowie na kierunku konserwacja mebli i wyrobów snycerskich. Ukończył krakowską ASP na Wydziale Form Przemysłowych. Laureat międzynarodowego konkursu *makeme!*

Fot. Łukasz Maziarz



Książka „Ucieszyć się życiem. Cztery okna wdzięczności” kapucyna Piotra Kwiatka uczy dostrzegać wartość i sens we wszystkich wydarzeniach, które nas spotykają, będąc poradnikiem podtrzymującym na duchu

Za oknem wdzięczności

Chorujemy chronicznie. Na brak radości życia, niezadowolenie, wieczne narzekanie. Ciągłe planujemy. Wakacje, na których nie było jeszcze sąsiada, kupno lepszego samochodu to kolejny szczyt do zdobycia. Nieustannie czegoś oczekujemy, chcemy więcej i bardziej. W codziennej gonitwie codzienne szczęście schodzi na plan dalszy.

Do tego, jak nie zapomnieć się cieszyć każdą chwilą życia i nie zagubić esencji szczęścia, zachęca kapucyn Piotr Kwiatek w książce „Ucieszyć się życiem. Cztery okna wdzięczności”.

Autor to zakonnik i doktor psychologii. Na co dzień wykląda na uczelni, prowadzi rekolacje i pisze książki. Jedna z nich: „Ucieszyć się życiem...” w dobie poradników pozytywnego myślenia jest swego rodzaju fenomenem. Kwiatek w popularyzatorski sposób łamie odwieczny „konflikt” pomiędzy nauką i wiarą, łącząc te dwa, wydawałoby się, różne obszary i zgrabnie balansując między psychologią a teologią. Prezentuje czytelnikowi oryginalny model czterech okien wdzięczności: okna darów nadzwyczajnych, zwyczajnych, duchowych i trudnych. W ten sposób pomaga zauważyć, docenić i celebrować ogrom dobra, które nas otacza, a poprzez świadome praktykowania wdzięczności solidnie go ugruntować.

Autor podejmuje temat ważny i ciekawy – wdzięczność. W prezentowanej koncepcji wdzięczności dostrzega radość w małych rzeczach oraz nie pomija trudów i wyzwań, przed którymi staje człowiek. Dostrzega wręcz sens porażek, niejednokrotnie będących źródłem cierpienia. Podkreśla, że trudności nie muszą hamować radości, ale poprzez kształtowanie dojrzałości mogą pomóc ją odkryć. Zakonnik podkreśla także, jak ważny jest aspekt ducha, który oprócz ciała i rozumu stanowi kluczowy

element naszego człowieczeństwa. Autor nie zaprzecza, że najprościej jest nam się cieszyć z tzw. darów nadzwyczajnych, takich jak otrzymanie premii w pracy czy duża wygrana na loterii. Uwrażliwia jednak czytelnika na to, że owa radość bywa krótkotrwała i szybko przemija.

W związku z tym na łamach książki, również poprzez propozycje odpowiednich ćwiczeń, zachęca do wzmacniania umiejętności cieszenia się zwykłymi, prostymi gestami codzienności. Wertując kolejne strony, zauważamy, że przeżywanie życia we wszystkich jego wymiarach może pomóc odzyskać pełnię radości.

Należy zauważyć, że analizę wszystkich czterech okien nienachalnie przenika i trafnie uzupełnia osobiste doświadczenie i świadectwo autora. Książka „Ucieszyć się życiem...” mówiąc może nieco sztampowo, jest pozycją, wobec której trudno przejść obojętnie. Uczy dostrzegać wartość i sens we wszystkich wydarzeniach, które nas spotykają, będąc poradnikiem podtrzymującym na duchu. W duchu wdzięczności.

Natalia Nózka

Piotr Kwiatek „Ucieszyć się życiem.

Cztery okna wdzięczności”

Wydawnictwo: Serafin, Kraków

Seria: Psychologia pozytywna i wiara

Rok wydania: 2016.

Liczba stron: 176

Oprawa miękka



Węgierski film „Dusza i ciało” to kino dla tych, którzy lubią myśleć i wyciągać wnioski, a nie zdawać się na gotowe wzorce

Baśń o tym, że koniec końców każdy potrzebuje miłości

Piękny, niesztampowy film „Ciało i dusza” znanej węgierskiej reżyserki Ildikó Enyedi zdobył w ubiegłym roku „Złotego Niedźwiedzia” na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie, a w tym roku był zagranicznym kandydatem do Oscara. To kino dla tych, którzy lubią myśleć i wyciągać wnioski, a nie zdawać się na gotowe wzorce.

Enyedi przedstawia historię znajomości młodej, zamkniętej w sobie Marii, pracownicy działu kontroli mięsa w rzeźni, i cynicznego Endre, jej dyrektora finansowego. Dwa całkiem inne światy stykają się w mało romantycznym środowisku.

O dziwo, relacja tych dwojga osób będzie się rozwijać w zgoła odmiennych okolicznościach w równoległym świecie snu, z dala od przyziemnej rzeczywistości. I gdyby nie incydent w miejscu pracy, nigdy by nie wyszło na jaw, że cokolwiek może połączyć tak różne osobowości. Ona wciąż ucieka, on wciąż szuka drzwi do jej świata.

Z minuty na minutę akcja, z pozoru mocno statyczna, wciąga nas coraz głębiej w bajkową scenerię.

Liczne recenzje dostępne w prasie enigmatycznie opisują scenariusz. I słusznie, bo zdecydowanie przyjemniej jest się dać ponieść historii i odkrywać ją samodzielnie, wczuwając w tajemniczy nastrój, stając obok bohaterów, wtapiać się w ich świat, niż zapoznać się wcześniej z treścią filmu i porównać jedynie wersję naszego wyobrażenia o kreacji reżysera.

Film wprowadza widza w przeróżne stany: wzruszenie, złość, smutek, śmiech, radość, a nawet litość i wstręt. Ale na pewno nie znużenia.

„Ciało i dusza” to wybitne dzieło o tym, jak bardzo każdy potrzebuje bliskości. Jak czasami trudno po nią sięgnąć, a jak bardzo warto. Dziękujemy, Enyedi!

Ludmiła Dębowska

„Dusza i ciało” (oryg. Testről és Lélekről)

Reżyseria: Ildikó Enyedi

Gatunek: dramat

Produkcja: Węgry

Data premiery: 10 lutego 2017 r. (świat), 26 stycznia 2018 r. (Polska)

Czas trwania filmu: 114 minut

Występują: Alexandra Borbély jako Maria Rácz, Géza

Morcsányi jako Endre, Zoltán Schneider jako Jenő, Ervin

Nagy jako Sándor (Sanyi), Réka Tenki jako Klára



Bez wątplenia „Wyspa psów” w reżyserii Wesa Andersona jest wydarzeniem pokazującym, że kino autorskie to coś, co zdarza się zdecydowanie zbyt rzadko

Psia demokracja

Reżyser Wes Anderson powraca po czterech latach od Oscarowego *Grand Budapest Hotel* w kolejnej w swej karierze animacji poklatkowej.

Fabula filmu rozpoczyna się w niedalekiej przyszłości, w wielkiej japońskiej metropolii Megasaki, gdzie panuje psia grypa. Rozprzestrzenienie się ona w zastraszającym tempie, przez co całej populacji czworonogów grozi wymarcie. Burmistrz Kobayashi zarzą-

dza więc przeniesienie wszystkich psów na pobliską Wyspę Śmieci, aby mogły one tam w spokoju dokończyć żywota, nie zagrażając ludziom ani innym zwierzętom. Cała sprawa jest jednak dość podejrzana. A to dlatego, że ród Kobayashich, który od wieków rządzi regionem, ma pewne historyczne uprzedzenia w stosunku do psów.

Życie psów na wyspie upływa na walce o odpadki, na kichaniu i prychaniu oraz plotkach (tak, kochają plotkować). Po wielu miesiącach od przybycia pierwszego z psich więźniów, Ciapka, na wyspę przylatuje jego dawny opiekun, dwunastoletni chłopiec Atari Kobayashi. Mały lotnik jest najmłodszym, choć adoptowanym, członkiem rodziny Kobayashi, który nie podziela nienawiści burmistrza do wszystkiego, co szczeka. Po dość kłopotliwym lądowaniu Atari zaprzyjaźnia się z watahą psów, które starają mu się pomóc w odnalezieniu Ciapka. Rozpoczyna się ich wspólna wędrówka przez dziwną wyspę, aż po jej najdalsze krańce.

Podczas tej niebezpiecznej przeprawy jesteśmy świadkami narodzin więzi chłopca z bezpańskim, nieco zdziczałym kundlem o imieniu Wódz, który w przeciwieństwie do czwórki swych psich towarzyszy nie ma ochoty ani siać, ani aportować, ani szukać Ciapka.

Muszę jednak przyznać, że forma zdecydowanie zdominowała treść. Historia jest bardzo prosta i walorów filmu należy szukać w jej przedstawieniu. To piękna animacja, która już samym sposobem jej wykonania pozwala widzowi bez reszty zanurzyć się w świecie przedstawionym. Oprócz typowej dla twórczości tego reżysera symetrii i przeestetyzowania sama scenografia, faktury, a nawet sierść psów stanowią tu osobne dzieło sztuki, na którym ma się ochotę zawiesić oko na dłużej. Każda klatka owej animacji jest skończenie piękna i nadaje się na obraz. Mimo że wprowadza to odrobinę chaosu i nieprzejrystości, całość wygląda bardzo atrakcyjnie i dodaje pewnego wrażenia niezwykłości, obcowania z czymś niecodziennym.

Reżyser czerpie garściami z licznych odwołań do klasyków kina. Sceny z przemawiającym Burmistrzem przywodzą na myśl Obywatela Kane'a, w komputeryzowanych gabinetach naukowców odnajdziemy Odyseję kosmiczną Stanleya Kubricka, a nad całością czuwa duch Akiry Kurosawy, którego twórczość – jak przy-

znał sam Anderson – była jedną z głównych inspiracji przy pisaniu scenariusza.

Nie zabrakło również odniesień kulturowych. Co prawda, sporo rzeczy jest tu przerysowanych, a Japonia sprowadzona zostaje do kilku elementów swojej tożsamości kulturowej. Jednak osadzenie całej historii w atmosferze dziecięcej opowieści i traktowanie tych elementów z wielką sympatią sprawia, że całość pozostawia wrażenie miłej laurki dla Japończyków i wszystkiego, co japońskie.

Dzięki dobrej obsadzie każdy z psów otrzymał własny charakter i poczucie humoru. Spośród wszystkich bohaterów, obok m.in. Edwarda Nortona i Billa Murraya, na pierwszy plan zdecydowanie wybija się Bryan Cranston, którego Wódz, obok Atari, jest najważniejszą i przechodzącą największą przemianę postacią filmu. Warto również zauważyć, że ludzcy bohaterowie mówią w ojczystym języku, co w połączeniu z komunikującymi się po angielsku psami stanowi umiejętny zabieg podkreślający znaczenie porozumienia i języka, raz będącego barierą, innym razem ją przełamującego.

Ostatecznie Wyspa psów to pełen stylu, miłości do kina oraz powagi zmieszanej z dziecięcą fantazją film. Myślę, że jest dobrą odtrutką na przesłodzone animacje, których ostatnimi czasy w kinach co niemiara.

Klaudia Kaczmarczyk

„Wyspa psów” (tytuł org. *Isle of Dogs*)

Produkcja: USA, Niemcy

Reżyseria: Wes Anderson,

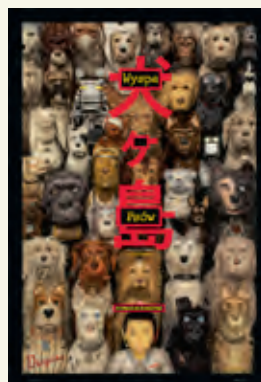
Scenariusz: Wes Anderson,

W rolach głównych m.in. Edward Norton, Bill Murray, Bryan Cranston

Premiera: 20 kwietnia 2018 r. (Polska), 15 lutego 2018 r.

(świat)

Czas trwania: 1 godz. 41 minut



„Ulubione” zespołu *Atlantyda* to odpowiedni album dla słuchacza wchodzącego dopiero w świat piosenki żeglarskiej

Dobra płyta na pierwszy raz

„Dobra płyta na pierwszy raz” – taka myśl przysłała mi do głowy, kiedy słuchałem zbioru trzynastu ulubionych piosenek zespołu *Atlantyda* składających się na płytę „Ulubione”. Jest to bowiem odpowiedni album dla słuchacza wchodzącego dopiero w świat piosenki żeglarskiej, myłonej swoją drogą z jej pokrewnym gatunkiem, czyli szantą.

Zespół wita nas piosenką „Sail ho, welcome” i subtelnie wprowadza w tematykę marynistyczną. Przywołuje małego chłopca podziwiającego w porcie wielkie żaglowce. Omawiany utwór ma ponadto przyjemną melodię i umiarkowane tempo. Widać, że są to celowe zabiegi, by nie zaskoczyć odbiorcy „odpychającą” na pierwszy rzut ucha surowością szanty klasycznej. Choć w refrenie tej i innych piosenek pojawiają się również takie elementy, to jednak zostały one albo umiejętnie zamaskowane, albo doskonale komponują się z całością utworu.

Klimat płyty budują wymieniające się między sobą skrzypce, banjo, akordeon i kontrabas. Cały czas jednak towarzyszą nam metaliczne, choć przyjemne dźwięki gitary akustycznej, na której gra założyciel zespołu Sławomir Klupś. On też jest głównym wokalistą o cieplej, charyzmatycznej barwie głosu.

Szczególnie pasuje ona do spokojniejszych utworów, takich, jak „Bramy Dublina”. Człowiek od razu wówczas wyciąga ucho w stronę głośnika, by wylapać słowa. A te poruszają rozmaite i zupełnie skrajne, żeglarskie aspekty: młodzieńczą fascynację i tęsknotę za domem starego latarnika, piękno wiatru w żaglach i srogość sztormu, zabawę na balu i gorzkie pożegnanie młodego marynarza z wybranką.

W piosence „Pacyfik” i „Dzień św. Patryka” na wesoło przedstawiona została walka ze sztormem i poniesione wówczas straty, a z kolei w innym miejscu płyty żeglarz „Billy Boy”

również żartobliwie opowiada o wiszących nad nim srogich karach.

W piosenkach znajdziemy zachwyty, rozczarowania, wspomnienia, marzenia, plany... Są też kompozycje – kolokwialnie mówiąc – „pod nóżkę” i do posłuchania w jesienny wieczór.

„Ulubione” to kompilacja coverów i nigdy jeszcze niepublikowanych utworów, ale znanych fanom z koncertów. Zwracają uwagę odświeżone aranżacje, poprawione brzmienie instrumentów i realizacja dźwięku, co nie tak często zdarza się na płytach z piosenką żeglarską.

Może i Wy – jak *Atlantyda* – wkrótce będziecie mogli powiedzieć o tych piosenkach: ulubione...

Andrzej Barć

Płyta: „Ulubione”

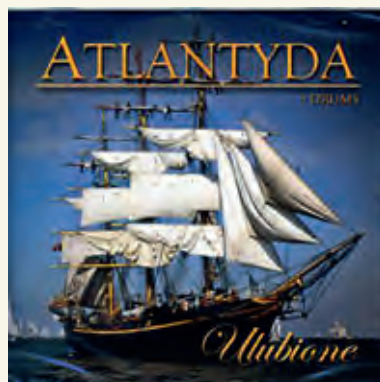
Zespół: *Atlantyda*

Wydawnictwo: Nautilus Media

Rok wydania: 2014

Liczba utworów: 13

Czas trwania: 45' 19"



Film „Cudowny chłopak” Stephena Chbosky’ego wzbudza wiele emocji, ale może dlatego warto się wybrać do kina z dziećmi...

Dostrzec piękno w brzydocie

Stephen Chbosky i jego najnowszy film, który zarobił ponad 300 mln dolarów i został nominowany do ośmiu nagród (w tym Oscara i na-

grody BAFTA), zyskał w ciągu ostatnich miesięcy ogromną popularność. Familijny dramat z nutą komedii, prosty scenariusz, bogata produkcja, przeciętna amerykańska rodzina na co dzień walcząca z chorobą domownika i obsada z najwyższej półki...

Można pomyśleć, że nie istnieje nic bardziej banalnego. Ale właśnie to skusiło mnie do pójścia na seans.

Cała historia rozgrywa się w ciągu roku w małym miasteczku pod Nowym Jorkiem, gdzie mieszka rodzina Pullmanów. Już na starcie witają nas same cudowne osobistości – Julia Roberts i Owen Wilson grający Isabel i Nate'a, czyli rodziców głównego bohatera, i jego starsza siostra Izabela Vidovic, filmowa Via.

W drugiej scenie poznajemy Auggiego, chłopca ze zdeformowaną twarzą i bujną wyobraźnią, który pragnie jednego: żyć jak pozostałe dzieci. Nas bohater rozpoczyna naukę w V klasie (wcześniej jego edukacją zajmowała się mama) z nadzieją, że koledzy go zaakceptują. Niestety, jego wygląd sprawia, że Auggie staje się szkolną sensacją, a dla wielu wręcz kimś z innej planety, wszyscy wytykają go palcami.

Sytuacja zmienia się diametralnie, gdy do szkoły przychodzi nowa uczennica. Summer dostrzega w koledze coś więcej, wyciąga do niego pomocną dłoń. Nie obchodzi jej dziwaczny wygląd kolegi. Jeden przyjazny gest koleżanki budzi w Auggiem nową siłę i wkrótce udowadnia, że nie tylko odmienna wygląd czyni z niego kogoś wyjątkowego.

Jacob Tremblay stworzył świetną kreację. W dalszej części filmu nie tylko potrafi wzruszyć widzów, ale i rozbawić do łez. Fani „Gwiezdných wojen” mogą być zachwyceni, gdyż mnóstwo w filmie nawiązań do sagi (sam Auggie jest zafascynowany kosmosem).

Cała adaptacja książki R.J. Palacia może i przypomina trochę oczywiste z pozoru prawdy „miej serce i patrzaj w serce” czy „nie oceniaj książki po okładce”, ale czyni to w dość subtelny sposób. Z tego względu nie należy nazywać filmu kolejnym banałem dla znudzonych niedzielnych popołudniem rodzin. Doskonałym zagranie reżysera było na przykład ukazanie życia rodziny oczami każdego z domowników – zatroskanej matki, zazdrosnej, ale kochającej brata siostry czy wyluzowanego taty.

„Cudowny chłopak” wzbudza wiele emocji, ale może dlatego warto się wybrać do kina z dziećmi...

Justyna Harmaj

„Cudowny chłopak”

Reżyseria: Stephen Chbosky

Produkcja: USA

Gatunek: komediodramat

Czas trwania filmu: 1 godz. 53 minut

Premiera: 19 stycznia (Polska), 15 listopada 2017 r. (świat)

Obsada: Julia Roberts, Owen Wilson, Jacob Tremblay, Mandy Patinkin, Daveed Diggs, Sonia Braga, Noah Jupe, Emma Tremblay



Za każdym razem wychodziłem z „Mangii” więcej niż zadowolony, usatysfakcjonowany tym, że jedzenie okazało się po prostu świetne i że moje dobre wspomnienia z przeszłości nie zostały zdeptane przez współczesność

Smaki dzieciństwa

Jest w Krakowie pewna knajpka. Z dala od przełudnionych turystycznych szlaków i problemów związanych z parkowaniem samochodów typowego dla Starego Miasta czy Kazimierza. Lokal o ćwierćwiecznej historii, pozbawiony pompacyjnego zadęcia, przyrodzonego – jakby się zdawało – restauracjom, którym udało

się przetrwać choćby pięć marnych lat. Miejsce to nazywa się „Mangia” i znajduje się przy zbiegu ul. Pilotów oraz ul. Żwirki i Wigury.

Wróciłem tam po latach, choć właściwie precyzyjniej by było powiedzieć, że niemalże po dekadach. Dawniej, czyli kiedy jeszcze płaciło się w tysiącach złotych, jadałem tu nieraz z rodzicami. Częściej z tatą, gdyż mama miała w tym czasie dyżury w szpitalu. Wiedziałem, że restauracja nadal funkcjonuje (mijałem ją setki razy), ale jakoś nie było okazji czy potrzeby serca, by tam znowu zajrzeć.

Wiele się od tego czasu w „Mangii” zmieniło, a najbardziej wygląd lokalu. Dawniej było tu schludnie, lecz stołókwowo. W stylu trochę lepszego baru mlecznego, włączając w to społeczeńską zastawę. Obecnie mamy wystrój współczesny. Duże okna, kominiek, skórzane kanapy i krzesła. Ładne stoły nie nakrywa się już ceratą. Niby nic szczególnego, co by zasługiwało na wyróżnienie wnętrzarskie, ale też nie ma się czego wstydzić czy mówiąc brzydko – czepiać.

Standard obsługi również się zmienił. Zniknęła samoobsługa i zamawianie potraw bezpośrednio u szefa czy szefowej – choć warto zauważyć, że to w dalszym ciągu przedsięwzięcie rodzinne. Obecnie jest klasycznie: menu, kelner, płatność z dołu. Nie zmieniła się jednak kuchnia, a konkretniej jakość i smak serwowanego jedzenia.

Wiedziony wspomnieniami za czasami bezpowrotnie minionej beztroski, w trakcie dwóch wizyt w „Mangii” zamówiłem „klasykę”, którą raczyłem się dawniej. Na pierwszy ogień poszedł kotlet z piersi kurczaka, ziemniaki z wody i kapusta zasmażana. Kotlet, choć lekko nieforemny, smakował wyśmienicie. Soczyste mięso – odpowiednio doprawione. Panierka zbita, chrupiąca tak jak powinna. Całość nieprzypalona, z maestrią usmażona, a przy tym nieociękałą tłuszczem. Ziemniaki były młode, ugotowane do stosownej miękkości, starszkołnie podane z koperkiem. Kapusta również młoda, palce lizać. W sam raz słodka, wytrawna i esencjonalna. Do tego wszystkiego kompot wiśniowy, godny podania własnej babci.

Można by powiedzieć – że pierwsza po latach wizyta w „Mangii” okazała się niemalże kompletnym kulinarnym zaspokojeniem. Niemalże, gdyż zabrakło mi na talerzu jednego

ziemniaka, bo choć kotlet miał ponadprzeciętną wielkość, to miejsca jeszcze nie zbywało. Partnerka pochłonęła swoją porcję z prędkością niebywałą jak na damę mikrej postury.

Podczas drugiej wizyty zmierzyłem się z gulaszem wieprzowym z plackami ziemniaczanymi podanymi z surówką z kapusty. Gulasz, o dużych kawałkach mięsa, ugotowanych do rozpadającej się pod lekkim naciskiem miękkości, okazał się gęsty, treściwy i pełen smaku. Placki były rzecz jasna z tartych ziemniaków, w sam raz słone, usmażone zgodnie z zasadami sztuki, nierozpadające się zbyt pod wpływem kontaktu z sosem, a surówka z kapusty stanowiła ciekawy, rześki kontrast dla wysoce sycącego dania.

Może jedynie samego sosu gulaszowego mogłoby być ciut więcej. Ale to szczegół, bo całość smakowała wyśmienicie.

Najgorzej, choć bynajmniej nie źle, wypadła sezonowa tarta truskawkowa, smaczna i nieprzesłodzona. Jednak z niewiadomego powodu podaną ją jakby lekko podgrzaną, co było zupełnie zbyteczne i powodowało jedynie rozpuszczanie się bitej śmietany.

Za każdym razem wychodziłem z „Mangii” więcej niż zadowolony, usatysfakcjonowany tym, że jedzenie okazało się po prostu świetne i że moje dobre wspomnienia z przeszłości nie zostały zdeptane przez współczesność.

Jakub Mączka

Restauracja „Mangia”, ul. Pilotów 45, Kraków.

W menu dania mięsne, jarskie i wegetariańskie

Ceny od niskich restauracyjnych do przeciętnych

Dwie osoby zjadły za 42 zł

W okolicy można łatwo zaparkować, brak strefy płatnego parkowania



O przejmującym tomiku wierszy
Stanisławy Wiatr-Partyki
„Piołun z kropelką rosy”

Krótką historia o pamiętaniu

Jeśli kiedyś w księgarni lub bibliotece natrafisz na tomik wierszy z okładką w kolorze nadziei „Piołun z kropelką rosy” Stanisławy Wiatr-Partyki, kup go lub wypożycz, żebyś poczuł, jaki smak ma tęsknota za krajem.

Nie sposób pisać o tekstach zrodzonych z krwi, łez i potu, hibernowanych kilkudziesięciostopniowym mrozem i głodzonymi latami, odchudzanych – w warunkach ekstremalnej oszczędności fizjologicznej – z każdego zbędnego słowa.

W estetyce jutowej sukienki każdy wiersz musi wzbudzać wzruszenie, gdy nie wiadomo, „Czy to lament, czy jęk, czy śpiew?”. Kilka wersów dalej mamy już pewność, że „Tak, to lament! To szloch! Nie śpiew!”:

Pewnie nigdy nie słyszałeś tak melodyjnego lamentu, tak przenikliwego szlochu i tak czystego nieśpiewu. Ten nieśpiew dochodzi do ciebie z Nieświeża, o którego istnieniu może nigdy nie słyszałeś, ale od chwili, gdy o nim przeczytasz, stanie się on twoim miastem, w którym będziesz szukać znajomych postaci Jerzyka i Janusza Butkiewiczów, swojej pierwszej miłości do utraconej ojczyzny.

Na pięciolinii tego nieśpiewu zawędrujesz za Ural, do dalekiej i mroźnej Jewlenki, gdzie kołysanka znajoma utuli cię do snu, ale nie licza na to, że będziesz spał spokojnie, gdy wilki zawyją z głodu nad twoją głową, czując ludzkie mięso pod śniegiem, i tylko nędzna zapora słomianej strzechy oddzieli twój sen od ich kłów.

Z nieba każdego zimowego dnia spadnie ci manna śniegu na zupełną „nic”. I tylko skrzydeł nie daj sobie odebrać, abyś mógł z tej niewoli wrócić do Polski, jak wszystkie Białe Orle – wspomnieniem bezimiennych grobów i cmentarzy, nazwiskiem na liście katyńskiej, wyrokiem w Ostaszkowie.

Może znajdziesz tam swojego ojca, a może nawet na krzyżu swoje nazwisko i obudzi się

w tobie świadomość, że umarłeś tam po to, aby móc żyć w Polsce, w której jest wiele kostek cukru do lizania.

Ta słodycz odmieni twoje życie i może wreszcie będziesz się umiał cieszyć z tego, że

*„Mróz policzki szczypie, wiatr śpiewać nie daje,
Pieśń z wiatrem ucieka, znów mocno rozbrzmiewa.
Dwie małe dziewczynki, którym tchu nie staje, /
W mroźną noc śpiewają «Jeszcze nie zginęła!»”.*

A kiedy wrócisz do Polski, tej wyśnionej, wymarzonej, wytęsknionej, to nikt twoich opowieści nie będzie chciał słuchać, bo tu też – chociaż nie polarna – kilkadziesiąt lat panować będzie noc głucha. Popatrzą na ciebie jak na obcego, wyśmieją twój akcent i zapytają, po coś tu przyjechał z tej Rosji. I tylko w uszach dawne dźwięki, napisanego na obczyźnie, mazurka każą ci chować w tobołku słowa wolne, żyć nimi na zesłaniu, aż przyjdzie kiedyś dzień i rocznica, że ludzie będą mogli twoje wiersze bez obaw głośno przeczytać i nikt nie zapyta „Czto ty takoję skazała?!”.

Mijasz Anioły na ulicach Tarnowa i nawet o tym nie wiesz; zesłane są tu przez Boga, cudem żyją dla ciebie, abyś mógł karmić swoją pamięć ich słowami. Ale czy jest w tobie głód tych słów?

Andrzej Król

Stanisława Wiatr-Partyka, „Piołun z kropelką rosy”

Gatunek: poezja

Wydawca: Stowarzyszenie Rodzin Ofiar Katynia Polski
Południowej – Koło Tarnów, Tarnów 2007



„Przejechałeś taki kawał drogi tym czymś, żeby mnie zobaczyć?” – pyta retorycznie brat głównego bohatera. Prośba o wybaczenie staje się już zbędna...

Uparty starzec

Niczym losos, pchany wewnętrznym instynktem, podąża uparcie do raz obranego celu. 10-letni, dosłowny rozbrat woła o pojednanie w obliczu coraz bliższego rozstania ze światem. W tych okolicznościach dystans kilkuset mil do przebycia jawi się już w zupełnie inny sposób. Dwie łaski, kosiarka, 80 lat na karku i 300 mil przed sobą... – nasz bohater nazywa siebie „upartym człowiekiem”.

Szukając utraconej jedności ze swoim bratem, wraca jak ten losos do miejsc, z których wyszedł, odnajdując na nowo swoje korzenie, brakującą część siebie.

W ten sposób stary Alvin Straight odkrywa przed sobą ostatnią życiową misję. Pomimo podeszłego wieku stać go jeszcze na jeden zryw mający przywrócić jego duszy zagubioną harmonię. Dla podupadającego na zdrowiu pocziwego staruszka wiadomość o zdrowotnej zapasce jego brata w odległych stronach staje się sygnałem do tego, by wstać z łóżka i wyruszyć w drogę.

Scena, gdy na początku filmu Alvin leży bezradnie w domu na podłodze, nie mogąc się podnieść, jest osią całej fabuły. W obliczu owej niemocy tym bardziej niepojęte dla otoczenia staje się jego postanowienie, by drogę dzielącą go od brata pokonać... na kosiarce (sic!), będącej jedynym środkiem lokomocji, do którego prowadzenia jest w tym wieku uprawniony.

Zdziwienie i pobłażanie, z jakimi spotyka się na każdym kroku zarówno ze strony córki, jak i najbliższych znajomych oraz późniejszych świadków jego groteskowej robinsonady, niewiele go wzrusza, nie zmąci moralnych racji pierwotnych zamiarów będących jemu tylko rozumianym głosem serca.

Wyprawa do odległego o 300 mil celu jest okazją do kontemplacji zmieniających się krajobrazów, podziwu dla potęgi przyrody i sposob-

nością do zetknięcia się z odmiennymi ludzkimi charakterami. Nade wszystko jednak kilkutygodniowa peregrynacja staje się pełnym rzewnej nuty westchnieniem nad przemijaniem, pobudką do przywołania bolesnych wspomnień, rozrachunkiem z demonami przeszłości.

Bohater Lyncha to po części pełen nadziei pątnik ciągnący na miejsce swojego ostatniego pojednania i penitent świadom bliskiego kresu życia, który kolejnych swych rozmówców traktuje jak powierników sekretów życia, obdarowując serdecznymi wyznaniem. Nasz wędrowiec to także niepozorny staruszek, którego pokora kusząco skrywa pokłady życiowej mądrości kogoś nieprzeciętnie doświadczonego przez los i gotowego odrobiną tego bogactwa obdarować każdego, kto akurat poświęci mu trochę czasu.

Jego odyseja jest również metaforą życia: spotyka kolejno nastolatkę, ludzi w średnim wieku i leciwego weterana wojennego, z którym łączy go bolesna pamięć traumatycznych doświadczeń z frontów II wojny światowej. Rozpoczyna swą wędrówkę w trakcie żniw, gdy w przyrodzie wciąż panuje jeszcze symbolizująca młodość zieleń. Gdy zbliża się do kresu drogi, drzewa spowija złota szata jesieni.

Wymowne jest również to, jak z postawą człowieka upartego w dążeniu do celu, zahartowanego przeszłością wojenną, przyjmującego z pokorą dole i niedole życia kontrastuje postać zbuntowanej nastolatki, której bunt pozostaje poniekąd jałowy i którą Alvin zadziwia samozaparcie. Ona, czekając na poboczu, liczy na podwiezienie autostopem – patrzy z niezrozumieniem i politowaniem na mijającą ją w ślimaczym tempie kosiarkę. Na koniec, upokorzona, z trudem osiąga etap drogi, na którym Alvin wyprzedza ją „małymi, acz wytrwałymi krokami”.

Sceneria: krajobrazy Środkowego Zachodu USA, bezkresne, głuche i pogrążające w zadumie, stanowi tu odpowiednią scenerię dla rozwijania wątków tak głęboko duchowo związanych z ciszą, upływającym czasem i kołatającym głosem sumienia, który właśnie w takim środowisku najlepiej daje się słyszeć. Atmosfera prowincjonalnego zaścianka, sennego i zdominowanego przez starszych ludzi, już sama w sobie rzuca widza w świat, który zwalnia tempo „akcji” na tyle, by myśli od razu zakrążyły wokół tematów egzystencjalnie ważnych

„Prosta historia” to film o przemijaniu, porażce i akceptacji losu, o ludzkiej dobroci, będący afirmacją starości, którą również stać na młodzieńczy bunt i walkę z ograniczeniami wieku; o instynkcie przebaczenia i pojednania, z braćmi oraz samym sobą.

Nominowany za tę rolę do Oscara Richard Farnsworth w trakcie kręcenia zdjęć miał zdiagnozowanego raka prostaty, cierpiąc na planie dotkliwe bóle. Zmarł jeszcze w roku premiery. Do całej historii scenariusz napisało życie i przypadek Alvina Straighta, który w 1994 roku na wieść o tym, że jego brat doznał ataku apopleksji, przebył swą kosiarką setki kilometrów.

To również film, w którym zawsze ostatnie słowo ma cisza, a puentą stają się tęskne spojrzenia posyłane w rozgwieżdżone niebo. Zapis dialogów można by przedstawić jako serie wielokropków niedopowiedzeń, przerywane asceetyczną, pełną serdeczności i pokory filozofią życiową Alvina.

Dzieło najlepiej podsumowuje końcowa scena, która raz jeszcze czyni zadość starej prawdzie, że jeden gest więcej jest wart niż tysiąc słów. „Przejechałeś taki kawał drogi tym czymś, żeby mnie zobaczyć?” – pyta retorycznie brat Alvina. Prośba o wybaczenie staje się już zbędna...

Kamil Dubiel

„Prosta historia” (oryg. *The Straight Story*)

Reżyseria: David Lynch

Produkcja: USA, Wlk. Brytania, Francja

Rok produkcji: 1999

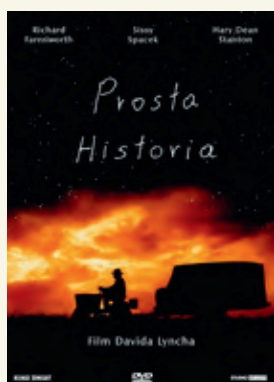
Gatunek: dramat obyczajowy

Scenariusz: Marry Sweeney, John Roach

Muzyka: Angelo Badalamenti

Czas trwania: 112 minut

W rolach głównych: Richard Farnsworth jako Alan Straight, Sisi Spacek jako Rose i Harry Dean Stanton jako Lyle



Czytając „Genialną przyjaciółkę”, można odnieść wrażenie, że opisana została biografia Eleny Ferrante. Jednakże Elena Ferrante to jedynie pseudonim artystyczny, a książka – literacka fikcja

Neapolitańska prawda o przyjaźni i zazdrości

Kim jest autor lub autorka książki, tego nie wie nikt, choć wiele osób próbuje się tego dowiedzieć, nierzadko przeprowadzając śledztwo godne zawodowych detektywów. Pisarz (bądź pisarka) postanowił (postanowiła) jednak zachować anonimowość, twierdząc, że „zrobił/ zrobiła dla powieści już wystarczająco dużo – napisał/napisała ją”.

Jeżeli założymy, że podstawowym zadaniem autora jest stworzenie dobrej powieści, a nie zyskanie medialnego rozgłosu, to temu, kto się ukrywa pod pseudonimem Eleny Ferrante, to się udało. Książka bardzo realistycznie ukazuje emocje i uczucia bohaterów, wciągając czytelnika w wartką akcję.

„Genialna przyjaciółka” to pierwsza część z czterotomowej sagi neapolitańskiej. Powieść doskonale ukazuje klimat lat 50. w. we Włoszech i ówczesne problemy społeczno-polityczne. Pół wieku temu status ekonomiczny i społeczny rodziny często przesądzał o losach dzieci.

W powieści Eleny Ferrante to dzielnica, w której od urodzenia wychowują się bohaterki, jest miejscem w największym stopniu je kształtującym. Piękno Neapolu, jego historia i dobytek kulturowy nie wywrą większego wpływu na bohaterki. Z kolei bieda, codzienna agresja i przemoc oraz wyraźne podziały klasowe odcisną silne piętno na psychice młodych dziewcząt.

W trudnych momentach Ellena i Lila, główne bohaterki, będą mogły jednak na siebie liczyć. Elena Ferrante, podkreślając rolę przyjaźni, ukaże także często towarzyszącą jej zazdrość. Zazdrość oraz sposoby, w jaki bohaterki sobie z nią radzą, odegrają w opowieści ogromną



rolę. Dowiemy się, jak zdolna i niesamowicie ambitna Ellena Grecco próbuje dorównać w nauce swej ponadprzeciętnie zdolnej przyjaciółce Lili. Z kolei Lila, pomimo niezaprzeczalnego talentu, musi się pogodzić z faktem, że to jej przyjaciółka Ellena, a nie ona otrzyma możliwość kontynuowania nauki w gimnazjum.

Choć dziewczęta niejednokrotnie zazdroszą sobie nawzajem wielu rzeczy, w kluczowych momentach mocno się wspierają. Wsparcie to okaże się bezcenne, gdy pod koniec pierwszej części sagi neapolitańskiej bohaterki będą musiały podjąć trudne i ważne decyzje.

Autor ukazuje czytelnikowi, że dokonane przez młode dziewczyny wybory co do dalszej edukacji pozostają w dużym stopniu skutkiem decyzji ich rodziców. Dwie młode bohaterki, aby polepszyć swój los, dokonają zupełnie innych wyborów.

Jeżeli czytelnik liczy na to, że w kolejnych tomach uzyska odpowiedź na pytanie, która decyzja była lepsza – rozczaruje się. Losy dorosłych bohaterek okażą się skomplikowane, a ich działania niejednokrotnie wątpliwe moralnie.

Powieść „Genialna przyjaciółka” to dobry wybór dla osób lubiących książki skłaniające do refleksji. Przeczytawszy ją, łatwiej będzie nam się przyznać do tego, że nasze przyjaźnie nie są idealne, a niekiedy wręcz naznaczone zazdrością.

Książka z pewnością uwrażliwia też czytelnika na problemy związane z biedą i jej wpły-

wem na ludzkie życie. Pozwoli także niejednemu z nas docenić to, w jakich czasach żyjemy. Przede wszystkim jednak dzięki tej książce ciekawie spędzimy kilkanaście godzin, przenosząc się myślami do Włoch.

Weronika Firek

Elena Ferrante „Genialna przyjaciółka”

(oryg. *L'amica geniale*)

Tłumaczenie: Alina Pawłowska-Zampino

Wydawnictwo: Sonia Draga

Gatunek: fikcja literacka, proza psychologiczna

ISBN: 978-83-7999-039-9

Liczba stron: 480.

Data wydania: 11 czerwca 2014 r.





KAMIL DUBIEL

GARB UCYWILIZOWANY

Wyjście z wody, zejście drzew, przyjęcie postawy wyprostowanej – historię ewolucyjnej drogi dochodzenia do formy *homo sapiens* znaczą symboliczne momenty

Natrafiam na niego w poczekalni do stomatologa i przy bankomatowej kolejce, wyraża mi spod ziemi (o zgrozo!) na przejściu dla pieszych, prześladowuje mnie jego krzywizna widziana w przejeżdżającym tramwaju, nęka posępny profil w firmowym bufecie. Środowisko bytowania – wszędobylski. Figura niezbyt szlachetna, przygięta, raczej mało dostojna – wszak w ręku dorobek myśli technicznej stuleci.

Trochę zombie z wczesnych filmów grozy. Z wczesnych, bo raczej widok to godny parodii. Rozbudzający obce mi dotąd odruchy karykaturotwórcze. Szlifuje trotuary pozornie bez celu, snuje się miejskimi placami, nie przykuwając już niczyjej uwagi, czai się, wyskakując na mnie zza rogu. Kluczy upiornie pośród miejskich zieleńców. Zdominował obraz znanego mi świata, choć jego widok opatrzył się i nie wywołuje już zdziwienia.

To *homo erectus* (łac. *erectus* – ‘wyprostowany’) człowiek na nowo pochylony. Alterna-

tywne nazewnictwo: *homo incurvatus* (w wolnym tłumaczeniu ‘o złamanym karku’) łatwy do zapamiętania, słychać echa upadłej, ciemnej strony natury ludzkiej. (por. *incurvatus* u św. Augustyna). Albo *homo duplicatus* (łac. dosł. ‘podwójnie złożony’) – kwintesencja gatunku. Odmiana siedząca/kucająca. Szczególnie gdy z tabletem na kolanach. Króluje wśród najmłodszych.

Czy to jeno chwilowe ewolucyjne zaburzenie, ulotna migawka odległego atawizmu, przejściowy nawrót zadawnionych czworonożnych instynktów? Można by pomyśleć: spadł nań ciężar trosk codziennych, przytłoczył jaki frasunek, dosięgnął ból egzystencjalny. Nic równie mylnego. Choć kroczy nie całkiem dumnie, to jednak właśnie jest pełnia życia. Człowiek pochylony to człowiek biorący dla siebie najlepszą część, wyciskający jak cytrynę. W swym wirtualnym uniesieniu niemal zapominając kroku – surfuje, ślizga się, egzystuje w chmurze, lewituje, wyrывa do innej rzeczywistości. Nogi to balast, gdy dzierży w dłoni owoc postępu wieków.

Nie powiem, że bym nie miewał z tą istotą całkiem nie po drodze, jak wtedy, gdy firmową stołówkę, u mnie jedyne miejsce, gdzie na-



prawdę rządzi światło naturalne, przemienia w ciemnicę z roletami bez pardonu opuszczanymi w dół. Dzień ustępuje miejsca świetlikom smartfonów – dzisiejszych kaganków oświaty.

Może jednak moje złośliwości to tylko przekuty w sarkazm resentyment, żal, że w mej kieszeni nie ma nic szczególnego, nad czym warto by się tyle pochylać, wszak sytuacja ma swoje plusy. Weźmy prozę życia: bliskość telefonu, smartfona, iPoda, tableta czy jakiegokolwiek innego elektronicznego ustrojstwa, stanowiącego dzisiaj przedłużenie ręki, uwalnia nas od zadawnionego, jak świat światem uciążliwego problemu trudnej konfrontacji wzrokowej z kimś, kogo akurat wolelibyśmy nie widzieć.

Brzmi znajomo? Jasne. Smartfon jako alibi.

Z zaciekawieniem stwierdzam jednak, że ten najnowszy z mechanizmów obronnych dnia codziennego nie należy bynajmniej wyłącznie do repertuaru małoletniej smartfonerii. Nieoczekiwana funkcja łagodzenia zakłopotania, jakiej zapewne żaden z pionierów mobilnej telefonii nie przewidywał, jest również na użytku pokolenia szmacianej chusteczki miast komórki, w kieszeni.

I choć do tej generacji również nie należę, to jednak bez bicia się przyznam, że i ja dałem się kilka razy skusić pozornej łatwości, z jaką zwykle „danie nura” w komórkę uwalnia od

niechcianych widzeń. Wiem też z doświadczenia, że efekt jest jednakowo zadowalający, niezależnie od tego, czy w tym strusim odruchu klikamy cokolwiek. Nie jest nawet konieczne posiadanie sprawnego telefonu. Wystarczy dobre markowanie technik smyrania naszego dotykowca smyrtfona.

Zupełnie nieoczekiwana wolta ewolucji, zważywszy na to, że nasi praszczurowie wyprostowali się między innymi po to, by lepiej widzieć potencjalnego napastnika. Obecnie pochylamy się również w odruchu obronnym, tym razem by zaoszczędzić sobie stresu i zambarasowania.

Wyjście z wody, zejście drzew, przyjęcie postawy wyprostowanej – historię ewolucyjnej drogi dochodzenia do formy *homo sapiens* znaczą symboliczne momenty. Jak się okazuje, człowiek wyprostowany – *homo erectus* – wcale nie musi wyprzedzać w pochodzie humanoidów, wszystkiego, co przed nim, a co garbate i małpopodobne.

Właśnie skonstatowałem bowiem obecność *homo posterectus*, ewolucyjnej supergeneracji uczłowieczonych małp. Wszelako *posterectus* pochyla się już jednak nie z niemocy zwierzęcych ograniczeń, ale ugina się pod ciężarem możliwości. Jego jarzmo słodkie, a brzemię lekkie. ■



LUDMIŁA DĘBOWSKA

MAM SERDECZNIE DOŚĆ TYCH BESTII!

Niech ktoś stworzy nową legendę, która
by zamieniła hałaśliwe i brudne gołębie
w kolorowe, bezszelestne motyle

Jak wieść niesie, nawet 40 tys. gołębi zamieszkuje ponoć Kraków, a ich liczba raczej jeszcze wzrośnie...

Sobota wcześnie rano, słońce już wzeszło, zapowiada się miły dzień. Ale pobudka do miłych nie należy. Budzi mnie obrzydliwie gulgota nie gołębi, dźwiękiem przypominające zamiar zwrócenia pochłoniętego dzień wcześniej pokarmu. Ptaki krążą po podwórku, instalują gniazda z gałązek w balkonowych donicach dając znać światu, że okres rozrodczy w pełni.

Kto tego doświadczył, ten wie. Taki właśnie miły poranek został mi ostatnio zafundowany przez najbardziej chyba bezczelne stworzenia okupujące królewskie miasto. Legenda o rycerzach księcia Henryka IV tłumaczy wprawdzie obecność hordy ptaków w Krakowie, ale nie ma

w niej przecież mowy o wspieraniu rozwoju populacji zaczarowanych rycerzy poprzez ich dokarmianie.

A tu proszę! Wychodzę z domu (kamienica, centrum Krakowa), lekko poirytowana niespodziewaną formą pobudki i pierwsze, co widzę na niewielkim skrawku zieleni przed moją bramą, to starszą panią wyciągającą z woreczka cały bochen chleba, rwącą go na kawałki i rozrzucającą wokół siebie. Zgraja ptaszysk zlatuje się w try miga i gulgoczącym chórem ogłaszającym pełne zadowolenie rzuca się na pokarm spadający z nieba.

– Czy musi pani tak śmiecić na tym skwerku?
– pytam starszą kobietę.

– A co mam zrobić ze starym chlebem!? Przecież to grzech wyrzucać! – słyszę w odpowiedzi.

Gwar jest niemiłosierny, słysząc trzepot skrzydeł, widać walkę o jak najlepszy kęs. Poziom mojej irytacji wzrasta, kiedy widzę, jak świeżo wyrosnięte źdźbła trawy wydziobywane są wraz z okruciami. Pomijam fakt, że



oprócz chleba na trawie rozsiane są inne śmieci tudzież nieusunięte przez miłośników psów odchody. Miło się mieszka w Podgórzu...

Starsza pani, tak jak wiele innych żywicieli ptaków, przychodzi tutaj niemal codziennie na spacer, zaledwie kilka ulic od swojego domu. Rozsypuje okruszki gdzie popadnie. Jeśli potem spadnie deszcz, chlebowa papka wkleja się w podeszwy przechodniów.

Inna kwestia to zaparkowane przy skwerku samochody, na których gołębie zostawiają swoje ślady (nie chodzi o ślady łapek). Potem kierowcy skrobią karoserie, przeklinając pod nosem, podczas gdy wiekowe panie są z siebie zadowolone. No bo nie grzeszą, chleb rozdany, gołąbki nakarmione. Dlaczego nie robią tego pod oknem kamienicy, w której mieszkają?

Na Rynku, na Plantach, w parkach... Wszędzie gołębie zaznaczają swoją obecność. Zanim kupimy dzieciom ziařenka, by podarowały je ptakom, pamiętajmy, że roznoszą one zarazki. Na samą myśl przechodzą mnie dreszcze.

Czy tylko ja jestem tak wrogo nastawiona do ludzi karmiących ptaki? Czy może faktycznie powinniśmy wspierać te bestie w niekontrolowanym rozwoju? Dokarmiać? Gniazdko budować? Nie wydaje mi się. Nie kosztem estetyki naszego otoczenia. Nie kosztem naszego spokoju.

O wiele milej by było podziwiać na balkonach wróble albo sikorki i do porannej kawy słuchać śpiewu zamiast paskudnego gulgotu? Niech ktoś stworzy nową legendę, która by zamieniła hałaśliwe i brudne gołębie w kolorowe, bezszelestne motyle. ■



ANDRZEJ BARĆ

OTWÓRZCIE USZY, LUDZIE!

Obserwacja ptaków i innych zwierząt może urozmaicić na pozór nudne wyjście z domu

Ludzie idą codziennie przez osiedla i niczego nie słyszą. Niekiedy przechadzają się bulwarami wzdłuż Wisły czy przez park i również nic do nich nie dociera. A potem się mówi, że ptaków w mieście jak na lekarstwo, że są ewentualnie gołębiowate i krukowate, na których odchody już nie można patrzeć, że wyłącznie szum samochodów i dzwonki tramwajów...

Otwórzcie więc, ludzie, uszy i podnieście głowę, a szybko zmusicie oczy do wyszukiwania tego i owego. Niestety, często zapominamy o tym, że wokół nas jest tyle dzikiego życia. Chodzimy z nosami w smartfonach, ewentualnie w chusteczkach higienicznych, bo, jak już wygrzebiemy się z ciepłego domu, to nas katar łapie.

Coś ładnie pogwizduje na drzewie przy przystanku autobusowym. O, to sikora bogatka z żółtym brzuchem prezentuje się na jednej z gałęzi lipy.

Coś śpiewa na parkingu – wysoko, nad głową. To ciemnoszary kopciuszek siedzi na skraju dachu supermarketu.

Coś dziwnie stęka przy nadrzecznych bulwarach. O proszę, łyska płynie pod mostem na Wiśle.

Wiadomo, można zostać przy oznaczaniu gatunków w stylu: „taki mały, kolorowy ptaszek”. To nie jest nic złego, ale skoro już go dojrzelismy, może warto wiedzieć coś więcej z ornitologii.

Znów nie chodzi mi o to, by opisywać ptaka w rodzaju: „głowa z szaroniebieską czapeczką, zachodzącą na kark, jasnobrunatny grzbiet i barkówki, matowozielony kuper, ceglasto-czerwone policzki i brzuch, dobrze widoczne, białe pokrywy podogonowe, różowa pierś i podgardle. Tylko że zapomniałem, co to jest”.

Dobrze będzie, gdy po prostu nauczymy się, że „to jest zięba”, i rzeczywiście zapamiętamy to.

„A po co to komu?” – może ktoś zapytać. Słusznie robi, bo jaki na pierwszy rzut oka sens ma wytrzeszczanie oczu na widok kępy krzaków za przystankiem? Ludzie się

będą dziwnie patrzeć, a jeszcze nam autobus ucieknie.

A tam – w krzakach – może rzeczywiście siedzi sobie zajęc albo jakiś inny mysikrólik. Gorzej, jak czekamy na linię kursującą raz na trzy godziny. Czego się jednak czasem nie robi dla obserwacji przyrody...?

Nie ma co owijać w bawełnę – ja to po prostu lubię. A lubię dlatego, że owa obserwacja ptaków i innych zwierząt może urozmaicić na pozór nudne wyjście z domu, np. w zwykły, zimowy dzień.

Z czasem sami zdziwimy się, że wejdziemy do księgarni na rogu lub do sklepu internetowego i kupimy pierwszy, prosty przewodnik do rozpoznawania ptaków. Potem jeszcze płyta CD z odgłosami, trochę ziarna w karmniku, może budka lęgowa w ogrodzie... Aż w końcu weźmiemy urlop oraz znajomych i skoczmy na trzy dni na zasiadkę w krzakach w Biebrzańskim Parku Narodowym. No dobrze, trochę mnie poniosło...

Swoją drogą, wspomniałem o nudnym autobusie. Ale właściwie dlaczego nudnym (przynajmniej w największych miastach)? Przecież tu tyle się dzieje. Czy dociera do nas, jak miły lektor zapowiada przystanki albo jak za oknem w mijanym barze leci dobrze nam znana piosenka?

A może ktoś coś ciekawego opowiada? O, na siedzeniu za nami jakiś mężczyzna tłumaczy przez telefon, jak najlepiej zorganizować wycieczkę objazdową po Dubaju, a przy drzwiach po prawej dwóch niewidomych rozprawia o tym, że nie dało się dzisiaj przejść przez rondo Grunwaldzkie przez niedziałającą sygnalizację dźwiękową i jak można dzięki temu poznać fajną dziewczynę".

Wracając jednak do meritum...

Często kluczem do wejścia w bardziej kolorowy świat jest otwarcie uszu. Zorientujemy się wówczas, jak dużo rozmaitych dźwięków pojawia się w pobliżu nas, a co za tym idzie – ptaków. Spotkamy je, pracując w ogrodzie, idąc do szkoły lub pracy przez osiedle, jadąc skrajem lasu na rowerze czy piekąc kiełbaski ze znajomymi nad jeziorem.

Jeśli zaś ktoś faktycznie ma ptaki gdzieś, to niech idzie do kina na „Kaczki z gęsiej paczki”... ■





MONIKA PAWLIK

W SZPONACH FONOI I SIECIOHOLIZMU

Pewnego dnia wybiorę się na długi spacer bez smartfona i zobaczę, czy da się przeżyć..

Muszę napisać na zajęcia tekst. Siadam do biurka, kładę na nim telefon i rzecz jasna od razu włączam internet. Nie mogę inaczej, sieć to przecież moje okno na świat. Wprawdzie szybko odkrywam, że na fejsie nie dzieje się teraz nic ciekawego, ale nie mogłam się powstrzymać. Musiałam. Było to ode mnie silniejsze.

Jakże cieszy mnie nowo kupiony, wibrujący telefon! Nim zacznę pisać ciągle odkładany na później tekst, muszę – jakżeby inaczej – odpowiedzieć na SMS, który akurat otrzymałam. To absolutnie nie może czekać...

Czy jest ze mną coś nie tak?

Możliwe... Kiedy kilka dni temu wpadł mi do toalety stary telefon i się zalał, ogarnęło mnie prawdziwe przerażenie. „Jak tu będzie przeżyć dzień bez tego »okna na świat«?!”

Nie zastanawiając się długo, od razu zamówiłam przez internet nowy egzemplarz, nie

zważając na to, że kosztuje więcej. Musiałam to zrobić. Tak, przyznaję, że nie potrafię już żyć bez telefonu. Jestem uzależniona od sieci i urządzeń mobilnych.

Okazuje się, że nie tylko ja cierpię na ową przypadłość. Jadąc codziennie rano autobusem do pracy, przekonuję się, że dotyczy to sporej części ludzi. Co drugi pasażer (zwykle młody wiekiem) dzwoni, sprawdza skrzynkę pocztową, pisze SMS.

Jak wieść niesie, z telefonów komórkowych korzystają już nagminnie dzieci w przedszkolach, a ostatnie badania dowiodły, że liczba użytkowników telefonów w Polsce przekroczyła liczbę mieszkańców i nasycenie rynku wynosi 115 proc. Tym samym statystycznie na jednego Polaka przypada więc półtora smartfona.

Niewątpliwie żyjemy w czasach, kiedy spora część społeczeństwa popadła w zniewolenie zwane fonoholizmem. O fonoholizmie, czyli uzależnieniu od telefonu komórkowego, mówi się wtedy, gdy nie jesteśmy w stanie bez niego normalnie funkcjonować.

Nasz smartfon musi być stale włączony, a podczas snu leżeć w zasięgu ręki, tak by

w każdej chwili, obudziwszy się, móc sprawdzić, czy nie mamy jakiejś wiadomości. Gdy, nie daj Boże, wychodząc z domu, zapomnimy zabrać ze sobą telefonu, wracamy, nie bacząc na to, że spóźnimy się do pracy. Jest to od nas silniejsze...

Doszło do tego, że ludzie prowadząc samochód, piszą SMS-y, nie przejmując się, że łatwo o spowodowanie przez to wypadku. Nie, to już powinno być naprawdę karalne!

Cóż, jestem fonoholistką, ale także siecioholistką. Nie wyobrażam sobie życia bez internetu. Lajkuję, szaruję, twituję i dodaję coraz to nowe osoby do znajomych na Facebooku. Owo uzależnienie od internetu to druga pułapka, w którą niestety wpadłam. Wszystko robię przez internet, załatwiam w ten sposób sprawy bankowe, towarzyskie, naukowe. Spędzam w internecie codziennie kilka godzin. Nie wyobrażam już sobie życia bez sieci...

Podobno na świecie żyje prawie 7 mld ludzi, z czego 2 mld to internauci i komórkowcy. Psychologowie alarmują, że fonoholizm i sieciholizm to poważne choroby XXI wieku. Czy zatem światu grozi kataklizm? Czy da się mimo wszystko jakoś walczyć z tą straszną wirtualną rzeczywistością?

Od jakiegoś czasu przyrzekam sobie, że spróbuję coś zrobić z moim uzależnieniem. Pewnego dnia mam zamiar schować telefon głęboko do szuflady, a wcześniej wyłączyć komputer i wybrać się na długi spacer. Zobaczę, czy da się – choć na chwilę – żyć bez telefonu... ■





JAK PRZESTAĆ BYĆ „CHOMIKARĄ”. JA PRÓBUJĘ...

NATALIA NÓŻKA

Prawdziwe sprzątanie rozpoczyna się wtedy, gdy próba doprowadzenia do ładu przestrzeni, w której się żyje, jest ważniejsza od sentymentu żywionego do rzeczy

Nie wiem, czy zależy to od charakteru człowieka, czy od wychowania w domu, ale proszę mi wierzyć, że żyją na tym świecie ludzie zwani „chomikami”. „Chomik”, według definicji wymyślonej ad hoc, to człowiek składający mniejsze i większe przedmioty (nie)codziennego użytku, któremu wszystko jest potrzebne, ponieważ „kiedyś się przyda”.

Ów gryzoń z rodziny *homo sapiens* z chęcią kupi prawie każdą dodatkową rzecz po okazyjnej cenie lub przygarnie coś, co innym wydaje się mocno niepotrzebne. W wolnych chwilach „chomik” buduje „schron”, w którym skrzętnie gromadzi zapasy na... No właśnie: na co?

Takim „chomikiem”, a właściwie „chomikarą” jestem ja. Odkąd pamiętam, zawsze coś zbierałam i kolekcjonowałam. Może dlatego, że od najmłodszych lat uczono mnie szacunku do rzeczy. Nie zmienia to faktu, że gromadzę to i owo ponad miarę. Jako mała dziewczynka segregowałam zabawki według koloru, a jako nastolatka kupowałam pomadki ochronne o coraz to nowych zapachach. Później jako studentka skrzętnie notowałam podczas wykładów

każdą informację, zresztą do dzisiaj przechowuję niektóre zeszyty.

Tak, ów wrodzony „sentyment do wszystkiego” skrzętnie wypełnia teraz przestrzeń pokoju, który wynajmuję.

Rzeczy ci u mnie pod dostatkiem, niczym w sklepie z „1001 drobiazgów”: notesów i ozdobnych zeszytów (podarowanych upominków), które od lat czekają na wenę i pisarski polot; przedmiotów z kategorii „kiedyś z pewnością się przyda”, pojawiający się tu i ówdzie kolczyk z kolejnej pary zakupionych i niezliczone książki, które (o zgrozo!) czekają w kolejce do przeczytania.

Znamienny widok to stosy kolorowych pudeł ozdobnych, a w nich listy, liściki, pocztówki z wakacji, identyfikatory przypominające ważne wydarzenia itp. W dużej mierze dotyczy to ubrań. Kiedy otwieram wrota mojej odzieżowej szafy, widzę, że uzbierałam tego co niemiara. Znajdują się tam na przykład dziesiątki apaszek/kominów/szali, posegregowanych w zależności od „terminu przydatności”. Są tam rzeczy „na teraz”, na „po domu” i „na cztery kilogramy wstecz” oraz te oczekujące „na za miesiąc, kiedy w końcu osiągnę wymarzoną wagę i z pewnością to wtedy włożę”.

Nie brakuje również ubrań „na specjalną okazję” – uroczystość, która w praktyce zdarza się przy odrobinie szczęścia raz do roku

(„Tak, ta sukienka była w promocji...”). Wielekrotnie jednak stoję przed tą szafą, patrzę i mówię do siebie: „A niech to, znowu nie mam co na siebie włożyć...”. Dlaczego? Dlatego że ubrań z kategorii „na teraz” jest w mojej szafie góra 10 procent.

O tym, że jestem straszną „chomikarą”, z czego nie do końca zdawałam sobie sprawę, przekonałam się w trakcie przeprowadzki. Znajomy, który podjechał tirem, żeby zabrać moje rzeczy, nie dowierzał, że drzwi od auta nie chciały mu się domknąć. Próbowалам tłumaczyć, że 10 lat w Krakowie swoje jednak robi, że nie mogę przecież wyrzucić kubka z naderwanym uchem, gdyż dostałam go od koleżanki poznanej na szkoleniu w 2013 roku i ma on dla mnie wartość sentymentalną...

Uff! Jestem zmęczona. Zmęczona nadmiarem tego wszystkiego. Teraz sobie to naprawdę uświadamiam. Czas na zmiany.

Zmiany są dobre, przynoszą ożywienie, nową jakość. Ale do zmiany trzeba się przygotować. Jest paradoksem, że podczas porządkowania rzeczy odkryłam, iż wśród nieprzeczytanych książek leżących sobie spokojnie na półce znajdowała się pozycja „Im mniej, tym więcej” Joshui Beckera, mówiąca o pięknie minimalizmu, który porządkuje nie tylko przestrzeń, ale i relacje. Postanowiłam naprawić ów błąd, a po przeczytaniu pomyślałam: „Może by tak wprowadzić trochę porządku w swoim życiu?”.

Zacząłam się zastanawiać, czy rzeczywiście wszystko jest mi potrzebne do życia i szczęścia. Pojawiały się również pytania na poły egzystencjalne: „Gdybym mogła wziąć pięć rzeczy na bezludną wyspę, to co by to było?”. „A gdyby

wybuchł pożar, z czym bym wybiegła z płonącego budynku?”.

Okazuje się, że nie jest jednak ze mną aż tak źle. Kiedy przed rokiem postanowiłam odbyć pieszą pielgrzymkę z Portugalii do Santiago de Compostella, w godzinę przed lotem samolotem spakowałam potrzebne rzeczy do plecaka o wadze 7 kg? Dało się? – oczywiście, że tak! I wróciłam o wiele szczęśliwsza...

Prawdziwe sprzątanie rozpoczyna się wtedy, gdy próba doprowadzenia do ładu przestrzeni, w której się żyje, jest ważniejsza od sentymentu żywionego do rzeczy. Choć w takich chwilach głos wewnętrzny podpowiada: „Nie wyrzucaj, nie ma mowy!”, a za chwilę pojawia się złość: „Po co to kupowałam?!”, to jednak w końcu człowiek rozstaje się z tym i owym, mimo że ogarnia go smutek.

Efekty heroicznych czynów okazują się imponujące. Uświadomiłam sobie, że większą uwagę powinnam jednak skupiać na kolekcjonowaniu wspomnień niż rzeczy. Postanowiłam, że następną książkę kupię dopiero wtedy, gdy przeczytam minimum trzy wiernie czekające na półce na swoją kolej. Ponadto że jeśli paru rzeczy nie włożę na siebie w ciągu roku, powędrują do bardziej potrzebujących. Miłość bowiem najlepiej się mnoży wówczas, gdy się ją z kimś dzieli.

Moja walka z „chomikarstwem” rozpoczęta. Szafie zrobiło się na pewno lżej, półkom także. A i moje serce wydaje się jakby szczęśliwsze. Jak u Koheleta: *Wszystko ma swój czas i każda sprawa pod niebem ma swoją porę*. Zmienianie świata należy zaczynać od porządków wokół siebie i w sobie. Zdaje się, że znalazłam się od niedawna na dobrej drodze... ■





KLAUDIA KACZMARCZYK

PŁACIĆ STÓWĄ ZA GUMĘ DO ŻUCIA

NOWE „HOBBY” POLAKÓW

Czasem się zastanawiam: skoro i dla kasjera, i dla klienta banknoty o dużych nominałach są tak wielkim problemem, to może by należało zainstalować w placówkach handlowych lub w różnych punktach Krakowa automaty do rozmięniania pieniędzy, takie rozmięniacze, bilonomaty?

Robiąc ostatnio zakupy, byłam świadkiem sceny, którą znam niemal na pamięć. Chodzi o coś tak prozaicznego jak płacenie w kasie. Niby nic, a jednak jest to czynność niezwykle stresująca i testująca granice ludzkiej cierpliwości.

Oto stoi przede mną w kolejce do kasy dziewczę, które położyło na ladzie paczkę gumy do żucia, a w ręce dzierży stużłotowy banknot. Sprzedawca, który prawdopodobnie pracuje już kilka dobrych godzin, podaje kwotę do zapłacenia i rzecz jasna otrzymuje 100 zł.

Na jego twarzy widać całą gamę emocji: od zmęczenia po zniechęcenie, że musi przeżywać w handlu takie katusze.

– Czy ma pani drobniej? – pyta nieśmiało.
– Niestety, nie – stanowczo odpowiada klientka
– Dwa złote? Pięćdziesiąt groszy? – kasjer prosi niemal błagalnie.
– Nie. Dopiero wypłaciłam z bankomatu – słyszy w odpowiedzi.

Na wszelki wypadek mężczyzna sprawdza raz jeszcze stan kasy.

– Żałuję, ale naprawdę nie będę miała pani wydać... – odpowiada najkulturalniej jak może.

Znam takie sytuacje aż za dobrze. Już nie zliczę, ile razy prowadziłam podobny dialog jako kasjerka (pracuję w weekendy w jednej z sieci handlowych). Zupełnie jakbyśmy się uczyli ról na pamięć, a potem odgrywali je ku obopólnemu zirytowaniu.

Warto, żebyś wiedziała, Czytelniczko (wiedzia, Czytelniku), że kiedy rozpoczyna się zmianę w dużym sklepie, pracując przy kasie, zaczyna się z określoną sumą pieniędzy. Banknotów o różnych nominałach jest tyle a tyle, bilonu też. Jeśli jednak masz wyjątkowego pecha, już pierwszy klient weźmie jedynie wodę za

kilkadziesiąt groszy i z uśmiechem na twarzy wręczy ci banknot dwustuzłotowy.

Ja wiem, że on wie, iż ja wiem, że jedyne, co on chce naprawdę osiągnąć, to wyłącznie rozmiąć 200 zł. Tylko że ja nie mogę tego zrobić, bo za chwilę zostanę bez pięćdziesiątek i dwudziestek. Nie możemy być dla klientów litościwi...

Niestety, w owym starciu kasjer stoi zawsze na przegranej pozycji, bo przecież „klient nasz pan”. Ostatecznie dla świętego spokoju gość bierze jeszcze dwa jakieś inne małe produkty i... wychodzi ze sklepu zadowolony, że oszukał system, prawie jakby odkrył sekretne menu w Starbucksie...

Po paru miesiącach pracy w sklepie już mniej więcej znam ten typ ludzi. I tym razem się nie mylę... Klientka wyciąga portfel (narzekając przy okazji na jego ciężar), przegląda zawartość, palcem przerzuca drobne monety i mówi, że jest ich za dużo, więc nie będzie liczyć. Rzecz jasna, od razu wyciąga banknot stuzłotowy, płacąc za jakiś drobiazg.

– Czy ma pani coś drobniej? – pytam, spoglądając na brzęczący portfel.

– Nie.

– Nawet końcówki? Złoty trzydzieści pięć?

– Nie. Nie chce mi się szukać. Nie mam.

– Może kartą pani zapłaci?

– Nie mam.

– Niestety, nie będę miała jak wydać reszty – odpowiadam bezradnie.

Taka odpowiedź to ostateczność, lecz działa jedynie w połowie przypadków.

Na szczęście tym razem się udało. Rozdrażniona klientka, głośno wzdychając, żeby na pewno wszyscy usłyszeli, jak bardzo jest to jej nie na rękę, w końcu płaci bilonem...

Częściej jednak bywa tak, że testujemy swoją cierpliwość. Klient dalej nie ma ochoty zapłacić wyliczonej kwoty, ja nie mam jak wydać reszty, bo jest już dziesiątą osobą w ciągu półgodziny, która również „nie miała żadnych drobnych”.

Nie wszyscy wiedzą, że w takich sytuacjach u mnie w firmie nie da się rozmiąć nic z kasy u koleżanki obok, gdyż przełożeni tego zabronili. Mogę jedynie zadzwonić po kierowniczkę zmiany i liczyć na to, że nie powie „musisz sobie jakoś poradzić”, lub podesłać klientkę czy klienta kasjerce obok (o złośliwych komentarzach wtedy nie wspomnę...).

Drugie wyjście jest łatwiejsze, przez chwilę oczywiście koleżanka będzie mnie nienawidzić, ale jeszcze tego samego dnia robi to samo, więc będziemy kwita. Mogę też, wydając resztę, przekazać garść złotych z miną tak nie-szczęśliwą, że ludzie stojący w kolejce zaczną przeszukiwać kieszenie w poszukiwaniu drobnych (niekiedy tak robię...).

Czasem się zastanawiam: skoro i dla kasjera, i dla klienta banknoty o dużych nominałach są tak wielkim problemem, to może by należało zainstalować w placówkach handlowych lub w różnych punktach Krakowa automaty do rozminiania pieniędzy, takie rozmiennicze, bilonomaty?

Ma się rozumieć, owe maszyny musiałyby mieć spore gabaryty, gdyż zapotrzebowanie na taką usługę jest ci u nas ogromne. Cóż, tak się składa, że zawsze komuś zabraknie złotówki na bilet czy dziesięciu groszy na ksero, jeśli jest się studentem, albo paru monet na szybkie umycie samochodu na stacji paliw. I wtedy idzie do sklepu rozmiąć 50 czy 20 zł...





REWOLUCJA ZJADŁA WŁASNE DZIECI

JAKUB MĄCZKA

Oczekiwałem, że takie cuda jak kielbaski z niebieskiej nyski nieopodal Hali Targowej w Krakowie będą dostępne prawie na każdym rogu. Spodziewałem się paruzji, tyle że kulinarnej...

Spokojnie. Nie będzie to kolejny felieton komentujący obecną, niewesołą, sytuację polityczną kraju nad Wisłą. Nie zmienia to faktu, że będzie gorzki w smaku.

Gdy kilka lat temu food trucki zaczęły się pojawiać w Polsce, wśród rodzimych *foodies* (z ang. 'miłośników jedzenia') zapanowało wielkie życie. Różne rzeczy się słyszało i czytało. Że w końcu „będzie jak w Stanach”, bo „będzie można zjeść porządny street food o dowolnej porze dnia czy nocy” – ekscytowała się pewna blogerka. Że oto stajemy wobec „cywilizacyjnego fenomenu – demokratyzacji profesjonalnej gastronomii” – dopowiadał jakiś socjolog.

Sam upatrywałem w tym szansy dla wszystkich niezrealizowanych geniuszów kuchni i apostołów dań egzotycznych. Bądź co bądź wóz z wyposażeniem może być setki tysięcy czy

wręcz miliony złotych tańszy od tradycyjnej restauracji. W dodatku jest w stanie błyskawicznie zmienić rynek zbytu. Wszystko to miało umożliwić realizację marzeń o życiu z gotowania tysiącom ludzi. Oczekiwałem, że „teraz” takie cuda jak kielbaski z niebieskiej nyski nieopodal Hali Targowej będą dostępne prawie na każdym rogu. Spodziewałem się paruzji, tyle że kulinarnej.

Mamy rok 2018. Food trucki, w przeróżnych swoich formach, na dobre zadomowiły się na ulicach, a przede wszystkim na wygospodarowanych pod ten cel placach polskich miast i miasteczek. Wybór może oszalać. Na każdym kroku udaje nam się skosztować chociażby: burgerów i sandwichów w amerykańskim stylu, frytek belgijskich, koreańskich bułeczek z wieprzowiną, cieniotkich francuskich naleśników, niemieckich kielbasek, angielskiej ryby z frytkami, curry indyjskiego czy tajskiego, swojskich pieczonych ziemniaków, pizzy z pieca opalanego drewnem (tak, z prawdziwego pieca), japońskich sushi, sashimi czy onigiri, chińskich pierożków gotowanych na parze, a także uwspółcześnionej wersji maczanki po krakowsku.

Kuchnie arabska, izraelska, libańska, tuńska, meksykańska, kubańska i karaibska czy

polinezyjska czekają na chętnych. Naturalnie dania wegetariańskie, wegańskie czy bezglutenowe również są dostępne. I prawie nikt się już nie dziwi, że ktoś chce jeść bezmięsne żeberka. Do tego, a jakże, wybór deserów i dodatków. Rzemieślnicze bioorganiczne lody o smaku solonego karmelu z chrupką z bekonu przestały już szokować. Nikt się specjalnie nie ekscytuje świetnie upaloną i zaparzoną kawą, na którą ziarna tysiące kilometrów stąd jakiś chłop wybierał z guana nietoperzy.

Mówi się, że od przybytku głowa nie boli. Ja jednak uważam, że coś złego podziało się podczas tej całej kulinarno-gastronomicznej rewolucji. Na początku było nieźle. Pasjonaci porządnego, często nieznanego wówczas u nas, smakołyku serwowali dania o solidnych porcjach, wycenianych tak, że okoliczni restauratorzy zaczęli się pocić z niepokoju (jako ciekawostkę można dodać, że są miasta na świecie, które zabroniły handlu jedzeniem z wozów, poddając się naciskom lobby restauracyjnego).

Jednak gdzieś w ciągu lat nastąpiło sprzeniewierzenie. Ceny wzrosły zauważalnie lub wręcz absurdalnie. Zdarzają się frytki kosztujące niemalże 20 zł za porcję, a za styropianowy niewielki pojemnik z ryżem i curry, z dopłatą do świeżej kolendry do posypania z wierzchu, trzeba zapłacić 27 zł. Burgery dla dwóch osób z dodatkami i napojami sięgają, bagatela, 70 zł!

Absurd tej sytuacji polega na tym, że z takimi cenami taniej (i często lepiej, o czym za chwilę) jest zjeść w restauracji, gdzie nie ma zwykle problemu z miejscem siedzącym.

Dalej – czas oczekiwania na zamówienie... Ten potrafi sięgnąć groteskowych rozmiarów. Ostatnio usłyszałem, że moje jedzenie będzie gotowe do półtorej godziny i że bym zostawił numer telefonu, to zadzwonią, jak będzie do odbioru (nie doczekałem się tego telefonu). Odnoszę wrażenie, że może to być związane z faktem, iż właściciele pasjonatów i prawdziwych kucharzy zastępują coraz częściej osoby pozbawione niezbędnych kulinarnych umiejętności, jedynie przyuczone do mechanicznego wykonywania konkretnych czynności. Co – jak się zdaje – znacząco spowalnia pracę.

Takie podejście do sprawy skutkuje też brakiem elastyczności. Coraz częściej słyszę, że zamiana jednego składnika na drugi nie wcho-

dzi w grę albo że danie nie jest dostępne, bo zabrakło jednego ingredientu. Kucharz by wiedział, jak zastąpić brakujący składnik albo czy zamiana sosu, sera lub dodatku dobrze wpłynie na smak potrawy. Dorabiający student lub studentka czegoś takiego raczej nie potrafi.

Daleki jest od narzekania na osoby, które za niewielkie pieniądze, często w koszmarnych warunkach, pracują dziennie po 12 godzin. Najpoważniejszą kwestią pozostaje jednak zauważalny spadek jakości oferowanego jedzenia, co przy jednoczesnym wzroście cen zakrawa na kpinę. Często decydują o tym takie „szczegóły”, jak zamiana bułek pieczonych na zamówienie na zwykłe, wymiana kaczego smalcu na szmirawatą gastronomiczną fryturę, a samodzielnie robionych kiszzonek i pikli na produkty z puszek. Niekiedy, wskutek chociażby częstej rotacji personelu, danie bywa po prostu niedostatecznie dobrze przyrządzone czy doprawione. Najsmutniej jest jednak wtedy, gdy da się wyczuć, że ciężka i niezwykle powtarzalna praca zgasiła jednak iskrę kunsztu i przeblask geniuszu, które leżały u podstawy przedsięwzięcia.

Oczywiście, to nie jest tak, że wszystko bywa do bani. Przeciwnie, w Krakowie i w Polsce znajdziemy wiele miejsc, gdzie jedzonko z wozu pozostaje czymś niemalże natchnionym, małym dziełem sztuki kulinarnej.

Niemniej nietrudno zaobserwować i pewien paradoks. Przeważnie wraz z upowszechnieniem pewnego produktu czy trendu dochodzi do spadku ceny przy jednoczesnym zachowaniu jakości. Natomiast tu dzieje się odwrotnie. Jedzenie z food trucka stało się powszechne, ale to jakość spadła, a ceny wzrosły. Być może to owa powszechność wywindowała nam ceny... Przez liczbę wozów spadła liczba zamówień w każdym z nich, bo grupa zamawiających się nie zwiększyła, a trzeba się było utrzymać na rynku. Stąd wzrost cen, tańsi pracownicy i gorsze składniki.

Nie mam nic przeciwko temu, by skromny food truck i jego właściciel osiągnęli gigantyczny sukces. Aby umiarkowanie prosty projekt przekształcał się w wielomilionową franczyzę. Aby pomysłodawca mógł się wycofać i liczyć astronomiczne zyski. Byłoby jednak niezmiernie miło, gdyby nie odbywało się to kosztem klientów i utraty duszy. ■

CHCIAŁEM JĄ ZJEŚĆ ŻYWCEM Z MIŁOŚCI

ANDRZEJ KRÓL



Jestem tak chory na żonę, że nawet jak z domu wychodzę, to ją ze sobą wszędzie zabieram, jak infekcję

– Co u ciebie?

– To, co zwykle, a nawet bardziej.

– To znaczy, że postępow.

– Owszem. To jest taki postęp jak w łysieniu.

– To jaki to postęp?

– Miałeś więcej, a masz mniej.

– Czyżby żona chora? Dawno jej nie widziałem...

– Chora? Ona? Ona sama jest jak choroba, więc ona sama na siebie nie może być chora. To ja choruję na nią. Jestem tak chory na nią, że nawet jak z domu wychodzę, to ją ze sobą wszędzie zabieram, jak infekcję.

– Ale nie jesteś chory obłożnie, bo wychodzisz z domu.

– Jak ja bym nie wychodził z domu, to bym już nie żył. A żonę mam zawsze tu (wskazuje na serce).

– W sercu?

– A co ona by robiła w sercu? W kieszeni?

– W kieszeni to niebezpiecznie, bo ci liczy pieniądze.

– Nie musi długo liczyć. W portfelu mam tylko jej zdjęcie, żeby nie zapomniał, kto ma moje pieniądze. Popatrz, jak ona pięknie milczy na tym zdjęciu.

To zdjęcie to jest jedyna rzecz, którą mi pozwala zdjąć. Jak ja kiedyś byłem w niej zakochany. Byłem tak zakochany, że słyszałem, jak ptaszek mi śpiewa, jak kwiat dojrzewa, jak pisklęta kwilą w gniaздkach. Ja ją chciałem kiedyś zjeść żywcem z miłości.

– A teraz?

– A teraz to ja żałuję, że... tego nie zrobiłem.

– Polak mądry po szkodzie. To co ci zostało?

– Wyrzuty sumienia mi zostały i cztery córki mi zostały... do wydania.

– Zbawiłeś kobietę, a sam popadłeś w zatracenie. To nie jest powód do dumy cztery córki. Cztery córki są jak cztery miliony, które trzeba wydać tak, żeby nic się nie zwróciło. Ale żeby mieć wyrzuty sumienia, to przesada. Przecież one są ślubne.

– O, tak. One są tak bardzo ślubne i tak bardzo podobne do matki, że ja muszę mieć wyrzuty sumienia.

– Czemu?

– Bo ja wiem, że unieszczęśliwiłem nie tylko siebie, ale tych czterech niewinnych facetów, którzy będą mężami moich córek.

– Może zostaną pannami?

– Ci faceci?

– Nie. Twoje córki.

– Nie zostaną. One są piękne. Piękno jest jak pustynny miraż dla spragnionego. A jedna jest nie tylko piękna, ale ma na imię Zofia.

– Ładne imię. Sofija, czyli 'mądrość'.

– Tak. Ona jest bardzo mądra. Na każde jedno słowo ma dziesięć słów w odpowiedzi. Ona ma umysł przenikliwy jak rentgen, co wykryje każde złamanie, zanim ono nastąpi. A każde jej słowo jest ostre jak szpikulec do lodu.

– Skąd ona bierze te słowa?

– Z pamięci. To wszystko przez to złe wychowanie mojej żony. Ona mówi do niej wierszem.

– Wierszem?

– Tak, wierszem... białym jak konwalie, jak lilie, jak narcystyczna niewinność, jak biała gorączka. Jak... jasna cholera, co mnie bierze, jak tego słucham! ■



Xyz3

